

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 2 czerwca 1946 r.

Nr 22 (79)

ST. A. MAJEWSKI

Jakobinizm i jakobini

Poglądy na istotę społeczną i historyczną rolę jakobinizmu ustalili historycy i pisarze romantyzmu, Chateaubriand, Lamartine, szczególnie zaś Michelet w głośnej „Histoire de la Révolution”. Duża sugestywność ich stylu przesłoniła zupełnie braki erudycji, nieścisłość wywodów i subiektywność sądów. Trzecia Republika uważała ich poglądy za prawdę ostateczną. Prace te, napisane ze stanowiska wrogiego, pozostały po dziś dzień arsenalem inwektyw i sądów równie fałszywych jak niesprawiedliwych. W ten sposób doszło w XIX wieku do znieszczenia sensu historycznego jednego z największych ruchów politycznych, jakie znają dzieje.

Doniosłość tego ruchu musiał uznać nawet Chateaubriand, co prawda wysoce zgorszony, że tak powiemy, amoralnością historii. „Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że to jakobini dostarczyli Francji dzielnych, licznych i karanych armii, że to właśnie oni znaleźli środki ich finansowania i aprowidowania wielkiego kraju ogłóconego z zasobów i otoczonego przez nieprzyjaciół, że to oni jakby cudem stworzyli flotę i umieli za pomocą intryg i złota zapewnić sobie neutralność kilku mocarstw, że to pod rządami jakobinów dokonano wielkich odkryć przyrodniczych i pojawili się nieprzeciętni generałowie, że wreszcie im — jakobinom udało się wlać moc w wycieńczony organizm państwowy i niejako zorganizować... anarchię — musi się przyznać, że potwory te z klęską rodem wszystkie były utalentowane”.

Współczesna historiografia francuska przeprowadza rewizję poglądów, korzystając z doświadczeń historycznych, wynikłych z przebiegu ruchów rewolucyjnych w wieku XX. W świetle tych doświadczeń historycy spostrzegają fakty dotychczas niezauważone i prostują sądy powszechnie przyjęte*).

Rewizja ta pod niejednym względem bardzo cenna i bardzo aktualna pomija jednak aspekty socjologiczne sprawy. Nie pogłębiając zagadnienia z punktu widzenia socjologicznego, historiografia rozdrabnia niejako swój wysiłek na wydobywanie na jaw nowych faktów i nowych rysów psychicznych czołowych postaci jakobinizmu. Opierając się na tych zrewidowanych faktach i sądach, uwagi niniejsze są próbą **socjologicznej syntezy jakobinizmu**, bez pretensji do wyczerpania tak obszernego zagadnienia.

RODOWÓD SPOŁECZNY I IDEOLOGICZNY JAKOBINÓW

Zupełnie błędne jest bardzo rozpowszechnione mniemanie, że jakobini stanowili nieliczną grupę społeczną i byli koniunkturalną efemerydą historyczną. Pod nazwą jakobinizmu rozumie się zazwyczaj Klub, który rządził Francją rewolucyjną w latach 1793—1794. Tymczasem jakobinizm owych lat miał już za sobą dłuższą historię i przeszedł kilka głębokich przeobrażeń społecznych i doktrynalnych, nim osiągnął swój ostateczny kształt, który utrzymał się w pamięci potomnych. Ta ewolucja jakobinizmu a także jego masowość dowodzą, że był on najściślej związany z całością kultury francuskiej, z której wyrósł organicznie.

Społecznie i ideowo wywodzili się jakobini z licznych stowarzyszeń rozpowszechnionych od połowy XVIII wieku we wszystkich niemal miastach i miasteczkach Francji. Augustin Cochin, wybitny ale wrogo wobec Rewolucji usposobiony historyk, określił stowarzyszenia te jedną wspólną nazwą „**Les Sociétés de Pensée**”. Wszystkie te „**Towarzystwa Myśli**” posiadały w zasadzie jednakowe poglądy i dążenia. Głosiły one hasło podniesienia godności ludzkiej, domagały się dopuszczania do urzędów na podstawie uzdolnienia, a nie przypadkowości pochodzenia. Żądały równości prawnej i obywatelskiej oraz uzasadniały konieczność ujednolnienia prawodawstwa i uproszczenia administracji. Sposób formułowania i uzasadniania poglądów był różny, zależnie od kolorytu lokalnego.

Ponieważ towarzystwa te powstały samorzutnie, niejako żywiołowo, były one prze-

ważnie bardzo luźno zorganizowane. Tylko nieliczne posiadały własne lokale zaopatrzone w czytelnie i biblioteki; w większości miast, zwłaszcza mniejszych, członkowie towarzystw zbierali się w salonach lub kawiarniach literackich. W jednych towarzystwach, szczególnie w większych miastach, rej wodził filozofowie, subtelni anatomowie wszystkich rewolucji przeszłości — abstrakcyjni teoretycy nowego ładu, którzy szukali symptomów i praw starzenia się „tyranii” oraz formułowali podstawy etyczne i prawne nowego ustroju społeczno-politycznego. Inne towarzystwa składały się przeważnie z ekonomistów-fizjokratów, członków izb rolniczych i handlowych. Tutaj zestawiano i interpretowano dane statystyczne, poddawano ostrej krytyce cła wewnętrzne i różnorodne myta, które utrudniały swobodę wymiany gospodarczej, szukano argumentów w stosunkach gospodarczych czasów minionych, szczególnie w modnej podówczas starożytności klasycznej.

Skład tych towarzystw był nader miesany. Na stopie zupełnej równości spotykali się tu ze sobą liberalni arystokraci, wolnomyślni duchowni, wojskowi, reformatorzy społeczni, lekko ironiczni literaci oraz sentencyjnalni bourgeois, snobistycznie połączani różnorodnością towarzystwa.

Wszystkie te „Towarzystwa Myśli”, jakkolwiek stanowiły sieć rozrzuconą po całej Francji, nie miały jednak wspólnego centrum w postaci jakiegś komórki macierzystej. Istniała jednak między nimi pośrednia więź. Mianowicie wielu członków tych towarzystw nale-

żało jednocześnie do łóż masońskich, które cechowała centralistyczna organizacja. Około r. 1785 istniało we Francji 700 łóż masońskich.

Pierwszy załazek ogólnokrajowego centrum organizacyjnego towarzystw powstał dopiero po zwołaniu Stanów Generalnych, w Wersalu w r. 1789. Ponieważ w „Towarzystwach” skupiała się myśl polityczna ówczesnej Francji, nie należy się dziwić, że większość deputatów rekrutowała się spośród ich członków. W czerwcu tego roku zorganizowali oni w „**Klub Bretoński**”. Okazało się, że najbardziej czynni i wyrobieni byli bretońscy; narzucili oni nowej organizacji nazwę i pierwszych przywódców.

Klub Bretoński miał charakter parlamentarny, gdyż należeli do niego wyłącznie deputaci Stanów Generalnych. „Towarzystwo Myśli” i „Klub Bretoński”, to najdawniejsi, historycznie sprawdzalni przodkowie jakobinów.

KLUB „JAKOBINÓW”

Gdy Stany Generalne już jako Zgromadzenie Narodowe zostały przeniesione do Paryża, Klub Bretoński przez krótki czas zbierał się w salach kawiarni Amaury. W listopadzie 1789 r. wynajmuje dla siebie lokal w klasztorze św. Jakuba przy ulicy Saint-Honoré, przemianowując się jednocześnie na „**Towarzystwo Przyjaciół Konstytucji**”. Nazwy tej jednak używają tylko sami członkowie klubu, ogół, zwłaszcza liczni przeciwnicy, nazywa ich pogardliwie jakobinami. Jednocześnie ule-

ga zmianie charakter nowej organizacji: od-tąd przyjmowane są na członków osobistości również spoza grona parlamentarzystów. W zasadzie mają to być „pisarze, którzy posiadają w swym dorobku pożyteczne prace”. Jako pierwsi zostają przyjęci: filozof Condorcet, markiz de Casotte, wybitny ekonomista oraz ksiądz Lecanus, matematyk i kilku innych uczonych i publicystów. Po upływie roku członkowie nie będący posłami stanowią przeważną większość Klubu.

Klub jednak jest pod względem społecznym bardzo ekskluzywny. Statut jego wymaga pięciu członków wprowadzających; przez 15 dni po przyjęciu nowego członka nazwisko jest umieszczone na tablicy w lokalu Klubu z wezwaniem do zgłoszenia ewentualnych sprzeciwów. Członkiem może być tylko obywatel, posiadający czynne prawo wyborcze, zatem płaćcy podatki bezpośrednio. Wpisowe i składka członkowska są wysokie. Obrady Klubu odbywają się przy drzwiach zamkniętych. Dwóch cenzorów sprawdza przy wejściu autentyczność kart członkowskich.

Zupełną nowością organizacyjną Klubu jest artykuł siódmy statutu, który przewiduje, że Towarzystwo Przyjaciół Konstytucji w Paryżu uważa się za komórkę macierzystą całej sieci podobnych towarzystw już istniejących lub mających powstać w miastach i miasteczkach Francji. Klub paryski będzie korespondował z klubami prowincjonalnymi, omawiając sprawy poruszane na obradach Zgromadzenia Narodowego i pouczając o duchu nowych ustaw. Kluby prowincjonalne ze swojej strony będą donosiły centrali w Paryżu, w jakim stopniu uchwalone ustawy wprowadzane są w życie przez władze wykonawcze. Michelet określił „Towarzystwo Przyjaciół Konstytucji” pogardliwie i złośliwie jako „Grande société d'inquisition et de langage”. Skład „Towarzystwa”, jeśli idzie o społeczne pochodzenie członków, jest różnorodny. Należą do niego — mówi Michelet — „urzędnicy publiczni, pracownicy rzemieślnicy i rolnicy, odważni żołnierze, czynni działacze samorządu, księża”. Mimo różnorodności członków, Kluby są niezłomnymi zespołami nieustraszonych zelotów, posiadających nie tylko broń, ale rozsądek i co szczególnie ważne, mają za sobą opinię publiczną, która w tych burzliwych czasach stanowi najwyższą potęgę. W paryskim Klubie widzieć można Robespierre'a, który należy do najbardziej radykalnych i liberalnego księcia d'Aiguillon, skupiającego dokoła siebie umiarkowanych; między obu tymi przywódcami lawirują dawni członkowie „Klubu Bretońskiego” stanowiąc obecnie niejako centrum.

Oblicze społeczne „Towarzystwa Przyjaciół Konstytucji” jest, jak widać, zupełnie wyraźne. Członkowie jego rekrutują się wyłącznie spośród możnego mieszczaństwa i tych odłamów arystokracji i duchowieństwa, które w miodowych miesiącach rewolucji przeszło na stronę mieszczaństwa. Ani doktryna polityczna, ani taktyka i technika pracy nie są jeszcze ustalone. Jednakże z licznych enuncjacji Klubu widać, że akceptuje on dziedziczość tronu, ale występuje przeciw królewskiemu prawu weta. Jest on za jednoizbowym przedstawicielstwem narodowym. Przeważająca większość Klubu uważa za rzecz słuszną oparcie praw wyborczych na cenzusie majątkowym. W tej sprawie jednak Robespierre i część radykałów jest odmiennego zdania. Domagają się oni powszechnego prawa wyborczego.

Ścisła selekcja społeczna i niemal masońska ekskluzywność klubu powodują, że w bardzo krótkim czasie przestaje on być wyrazicielem opinii publicznej, która, według Micheleta, stanowiła największą jego potęgę. Klub przestaje wyrażać nastroje, nadzieje i uczucia szerokiej mas. Ilość członków biorących czynny udział w pracach zmniejsza się z dnia na dzień. Coraz częściej zdarzają się zgłoszenia formalnego wystąpienia z Klubu. W połowie lipca 1791 już tylko 6 członków zbierało się regularnie w lokalu Klubu, wśród nich ksiądz Grégoire i Maksymilian Robespierre. Można powiedzieć, że Klub paryski faktycznie przestał istnieć.

Te niedobitki Klubu (szczególnie Robespierre, który bacznie obserwuje nastroje ludu paryskiego) wiedzą, w czym tkwi źródło niepowodzenia. Wiadomości nadchodzące z klubów prowincjonalnych wskazują, że tam sytuacja jest o wiele lepsza: nie stracili one ani łączności z masą, ani swego bojowego ducha

MALARSTWO POLSKIE



ZYGUNT WALISZEWSKI (1898—1936)

Autoportret w zielonym szaliku

*) Mam tu na myśli głównie profesora historii Gaston-Martin, którego ostatnia praca pt. „Les Jacobins”, Paris, 1945, stała się impulsem do niniejszych rozważań. Dawniejsze prace Gaston-Martin dotyczące Rewolucji są następujące: „La Franc-Maçonnerie française et la préparation de la Révolution”, Paris 1926; „Augustin Cochin et la Révolution”, Toulouse 1926; „Marat, l'oeil et l'ami du Peuple”, Paris 1937. Gaston-Martin zapowiada bliższe ukazanie się monografii w trzech tomach pt. „Maximilien de Robespierre”.

W sierpniu kluby w Orleanie, w Abbeville, w Caen i w Marsylii demonstrują z bronią w ręku przeciw sabotazowej procedurze trybunałów sądzących kontrrewolucjonistów. Po raz pierwszy od wybuchu rewolucji Paryż został zdystansowany przez prowincję. Był to stan groźny, bo Paryż był zawsze i po dziś dzień jest głową i sercem kraju. Robespierre i towarzysze przystępują do akcji, przeprowadzając czystkę, pierwszą w historii Klubu. Dezercerzy, maruderzy i nałogowo bierni członkowie zostają formalnie wykluczeni. Inni zostają wezwani do ponownego zapisania się pod groźbą wykluczenia. Wszystkie kluby prowincjonalne otrzymują listy wykluczonych i nowoprzyjętych.

Zgromadzenie Narodowe przerażone zbrojnymi demonstracjami Klubów postanowiło po dłuższym wahaniu skorzystać z marazmu centrali i aktem ustawodawczym zgnieć kluby prowincjonalne. Odpowiedni dekret, przyjęty 9 października 1791 r., uzasadnia tę konieczność w sposób następujący: Nie można dopuścić do tego, aby „Towarzystwa” zrodzone z entuzjazmu wolnościowego przekształciły się w korporacje rozgałęzione po całym państwie i związane z metropolią; korporacje te, gdyby dalej je tolerować, przekształciłyby się w instytucje publiczno-prawne i doprowadziłyby do podziału społeczeństwa na obywateli stowarzyszonych i niestowarzyszonych... Dekret przewidywał pozbawienie na 6 lat praw obywatelskich za jakąkolwiek próbę przeciwstawienia się obowiązującym ustawom, a także karę 6-miesięczną dla inicjatorów petycji klubowych do Zgromadzenia Narodowego. Jednakże tego samego dnia, w którym przyjęto dekret, Zgromadzenie Narodowe zostało rozwiązane...

„JAKOBINI” REDIVIVI

Podczas tego zamachu Zgromadzenia Narodowego na kluby Robespierre nie spoczywał. Pierwsza czystka i mobilizacja aktywów członków w Paryżu wydała pomyślne rezultaty. W dniu rozejścia się Zgromadzenia Narodowego liczba aktywnych członków Klubu paryskiego była już dość znaczna, a ilość prowincjonalnych klubów, które utrzymywały regularną łączność z centralą dochodziła do tysiąca, gdy w lipcu tego roku nie przekraczała setki.

Dnia 12 października 1791 r. „Towarzystwo Przyjaciół Konstytucji” wprowadza nowość, która będzie miała decydujące znaczenie dla dalszych jego losów. Uchwala ono tego dnia, że członkami jego mogą być również obywatele nie mający czynnych praw wyborczych i kasuje niejawną swych zebrań. Odtąd najszersze warstwy ludności mogą przysłuchiwać się obradom klubu, obecność biedoty, czyli tzw. sankiulotów na galeriach klubu nieraz będzie miała decydujący wpływ na wyniki obrad. W ciągu października i listopada odbywa Robespierre pierwszą wielką podróż inspekcyjną i propagandową po prowincji. Przemówienia jego, w których dobitnie formułuje hasło uchwalone przez centralę, wywołują wszędzie niesłychaną egzaltację patriotyczną. Tak to centrala nawiązała kontakt z ludem paryskim i ze swoimi filiami prowincjonalnymi. Klub zmartwychwstał niejako do nowego życia, duszą jego będzie odtąd Robespierre, którego coraz częściej nazywają „l'Incorruptible” (Nieprzekupny). Dekret ograniczający działalność klubów oczywiście nie wszedł nigdy w życie. Ale to co przewidywał w swym uzasadnieniu stało się faktem: obok nowej reprezentacji parlamentarnej — Ciała Prawodawczego — paryska centrala Klubu staje się coraz bardziej czynnym niemal nadrzędnym, bo kontrolującym.

Sytuacja rewolucyjnej Francji w okresie Ciała Prawodawczego stawała się szczególnie trudna. Dojrzała powoli interwencja. Kwestia pokoju i wojny podzieliła całą Francję na dwa obozy i wywołała rozłam również w Klubie. Większość Klubu z Brissotem na czele oświadczała się za wojną prewencyjną. Brissot dowodził, że bez poparcia mocarstw zagranicznych wrogowie i zdrajcy wewnętrzni już dawno by zniknęli. Wyrażał on nadzieję, że energiczne wystąpienie Francji i groźba wojny zastraszy obce dwory i zmusi je do pozostawienia wrogów wewnętrznych ich własnemu losowi. W razie wybuchu wojny Brissot liczył na rozdzwinki między mocarstwami. Mniejszość Klubu, na której czele stał Robespierre, była przeciwko wojnie. Robespierre również uważał wojnę za nieuniknioną, ale sądził, że należy się starać jak najbardziej ją odwlec ze względu na duże niebezpieczeństwa, jakimi ona grozi Francji rewolucyjnej. Mniejszość ta wskazywała, że dwór, zwłaszcza królowa („Madame Canon”) prze do wojny. Zresztą nawet wojna zwycięska — argumentował Robespierre — grozi najgorszą tyranią: dyktaturą wojskową. Poza tym Francja nie jest przygotowana do wojny, jest tak źle uzbrojona, tak źle aprowdowana, że tylko szaleńcy i zdrajcy mogą chcieć wojny. Pragną oni jej dla własnych korzyści, dla podniesienia swego prestige'u, dla zaspokojenia osobistych ambicji i ściągnięcia na lud katastrofy. Trzeba najpierw oczyścić kraj od wrogów wewnętrznych, aby nie mogli wymierzyć walczącemu ludowi ciosu w plecy. Trzeba tak uporządkować stosunki, aby o działaniach wojennych nie decydował dwór i wybrani przez niego dowódcy wojskowi, wśród których niejedną marzy o dyktaturze. Tylko wodzowie z ludu i przez lud, wybrani po zostaną wierni rewolucji. Tezy te wyłożył Ro-

bespierre w pięciu wielkich przemówieniach ogłoszonych w grudniu 1791 r. i styczniu 1792 r.

Klub rozpadał się wyraźnie na dwa odczasy. Jeden z nich, grupując w sobie zamożne mieszczaństwo, wypisał na swoich sztandarach hasło: wojna dworom i tyranii zagranicznej. Drugi złożony z drobnomieszczaństwa i biedoty głosił hasło: śmierć wrogom i zdrajcom wewnętrznym! Pierwszy bynajmniej nie chciał pobić wewnętrznym przeciwnikom rewolucji, a o drugim nie można powiedzieć, że był usposobiony pacyfistycznie. Oba odczasy dzieliła raczej taktyka i różnica poglądów na hierarchię ważności zadań. Ale w tym krytycznym momencie historycznym, nader niebezpiecznym, kwestia taktyki miała znaczenie ważniejsze aniżeli kwestia zasad. Niebezpieczeństwa zewnętrzne i wewnętrzne były tak duże, że wymagały natychmiastowej decyzji i szybkiej akcji, która by konsekwentnie zmierzała w jednym lub drugim kierunku. Na połowiczny kompromis nie było już czasu.

Między tymi dwoma odczasami Klubu zachodziła również różnica innej natury. Zamożne mieszczaństwo składało się siłą rzeczy z elementu przeważnie wolnomyślicielskiego a nawet ateistycznego. Jego zamożność ułatwiała mu dostęp do źródeł ówczesnej francuskiej kultury umysłowej, która w istocie swej była racjonalistyczna i antyklerykalna. Drobnomieszczaństwo i biedota miejska, które tworzyły przeważającą większość ludności miejskiej, siłą rzeczy żyły w pewnej odległości od źródeł kultury. Były one przywiązane do tradycyjnych wierzeń i zwyczajów religijnych: nienawidziły tego odłamu kleru, który stanął po stronie kontrrewolucji, odnosiły się z lekką pogardą do duchowieństwa w ogóle, ale były z tym wszystkim katolickie, wierzące i praktykujące. Nawet deista Robespierre w swych płomiennych mowach rewolucyjnych raz po raz powołuje się na Opatrzność, a styl jego życia pozwala przypuszczać, że w tym wychowaniu kolegium jezuickiego żyła ukryta doza pobożności a może nawet dewocji i... skłonność do inkwizycji, jak go o to posadza Michelet.

W Ciele Prawodawczym, zrodzonym z wyborów opartych o cenzus majątkowy, reprezentanci zamożnego mieszczaństwa stanowili większość. Ukonstytuowała się ona jako parlamentarny klub Żyrondystów, któremu król powierzył rządy. Posiadanie władzy dawało duże możliwości, z których Żyrondyści umiejętnie korzystali. Na klubistów, chwiejnych w kwestii wojny, spadał deszcz łask rządowych, prasę obsługującą klubistów rząd wyposażał hojnie w fundusze propagandowe. „Le Courier” np., do niedawna jeszcze organ Robespierrowych, pisał w początku kwietnia 1792: „Prawdziwy patriota nie posiada tak przesadnej miłości panowania, nie afizuje się ciągle swymi cnotami i nie posługuje się intrygami dla uwydatnienia swych cnot”. Nazwisko Robespierre'a nie zostało wymienione, ale jak mówią Francuzi: à bon entendeur salut! (Mądrej głowie dość dwie słowie!)

20 kwietnia 1792 r. niesłychany entuzjazm panuje w Ciele Prawodawczym i... w Klubie. Francja rewolucyjna wypowiedziała wojnę tyranii zagranicznej.

Ale nadeszło to, czego się obawiała i przed czym ostrzegała mniejszość Klubu. Dowódcy na froncie jawnie zdradzali, wrogowie wewnętrzni rozzuchwalali się coraz bardziej, w Wandei wybuchło powstanie. W samym Paryżu wrogowie ludu i rewolucji nosili jawnie białe kokardy. Wróg zbliżał się do Paryża i zapowiadał krwawy odwet. La Fayette otwarcie mówił o konieczności dyktatury wojskowej. Wypadki przynęcały całkowicie raczej robespierrystom, ale jednocześnie zmuszały ich do bezczynności. W krytycznych bowiem momentach wojny podrywali autorytetu dowódców wojskowych i wyzwanie do rozprawy rewolucyjnej z wrogami wewnętrznymi — to woda na młyn wroga zewnętrznego. A wróg ten zbliżał się do bram Paryża. W tym krytycznym momencie robespierrysty widzą tylko jedną drogę ratunku: rozwiązać Ciała Prawodawcze, przeprowadzić powszechne wybory nie oparte na cenzusie majątkowym i powołać nowy rząd bardziej ludowy.

To stanowisko robespierrystów wydaje się ludowi paryskiemu słabe, niekonsekwentne i niewyraźne. Klub pustoszeje. Klubisci z dawnej większości, inicjatorzy obecnej katastrofy, nie mają odwagi się tam pokazywać. Odłam mniejszościowy dużo mówi, ale nie zdobywa się na stanowcze czyny. Także galeria świeci pustkami. Jak już nieraz bywało, Klub stracił znowu łączność z ludem. Tymczasem zachodzą doniosłe wypadki. 10 sierpnia 1792 r. lud paryski rozpęta Radę Miejską. W pierwszym tygodniu września nieznanymi ludziami zaopatrzeni w broń włamują się w całość niemal Francji do więzień i likwidują zdrajców i wrogów ludu. Klub nie bierze w tym żadnego udziału, choć tu i ówdzie niektórzy z tych nieznanych sprawców byli prawdopodobnie klubistami. Sam Robespierre odbywa w tym czasie przedwiośnią podróż propagandową po Francji. Strach, który padł na Francję, wymiół kluby: bezpieczniej było wówczas siedzieć w domu. Druga generacja, którą Michelet określił jako jakobinizm dziennikarzy, przestała faktycznie istnieć.

JAKOBINI — PRZYJACIELE WOLNOŚCI I RÓWNOŚCI

22 września 1792 r. następuje ponowna reorganizacja Klubu. Miała ona być ostateczną

i tym razem ostatnią. Była znowu dziełem Robespierre'a. Dnia tego Klub przybrał nową nazwę: „Towarzystwo Jakobinów — Przyjaciół Wolności i Równości”. Zmiana nazwy jest niezmiennie charakterystyczna. Dawna pogarliwa nazwa została obecnie wypisana na sztandarze. Dodano do niej główne slogany rewolucji, co zapowiadało rygorystyczną afirmację doktryny i konsekwentną jej realizację. Jakież było społeczne oblicze Klubu u schyłku jego rozwoju?

„Ten trzeci legion — pisze Michelet — zwołał niejako w imię równości, bardzo się różnił od dwóch poprzednich. Przede wszystkim był on młodszy wiekiem. Poza tym składał się on z ludzi pochodzących ze środowisk mało wykształconych, jak ów stolarz Duplay, u którego Robespierre mieszkał. Ci dzielni ludzie ogarnięci pasją, byli na ogół uczciwi i bezinteresowni. Fanatycy najgłębiej przejęci zbawieniem ojczyzny nie ukrywali bynajmniej swojej niewiedzy i szukali wodza; potrzebny im był człowiek uczciwy, z gruntu pewny i solidny, który by był niejako uosobieniem ich woli. Złożyli oni swe sumienie w ręce Robespierre'a. Jeżeli się nie mylę, byli oni bardziej naiwni i bardziej gwałtowni, mniej subtelni i mniej wnikliwi... aniżeli lud dzisiaj. Szczery fanatyzm, ale mało oswiecony — jednych, gwałtowność prawdziwa albo udawana — drugich, współzawodnictwo w szalonych porywach i wybuchach oburzenia patriotycznego — wszystko to sprawiło, że bardzo trudno było prowadzić Klub, mimo że wydawał się bardzo zdyscyplinowany. Przekraczał on często granice momentu dziejowego”.

Ta psychologicznie trafna charakterystyka Klubu nie wiele nam mówi o jego składzie społecznym. O przynależności społecznej członków można wywnioskować z deklaracji politycznej, którą Klub uchwalił jednogłośnie dnia 21 kwietnia 1793. Artykuł 7 domaga się ograniczenia własności indywidualnej „do ilości mienia gwarantowanej przez prawo”. Art. 11 żąda ustanowienia prawa pomocy dla ubogich, art. 13 wzywa do wprowadzenia podatku progresywnego od majątku i całkowitego zwolnienia proletariatu z obowiązków podatkowych. W trzeciej więc szczytowej fazie jakobinizmu przeważająca większość jego zwolenników rekrutowała się spośród warstw biednych i najbiedniejszych.

W tej trzeciej fazie dojrzała i ustaliła się również społeczna i polityczna doktryna Klubu. Niektóre polityczne tezy tej doktryny sformułowane zostały już w październiku 1792 r. Były one wynikiem dotychczasowych doświadczeń politycznych, z których Robespierre z właściwą mu nieubłaganą logiką wysnuł ostateczne konsekwencje. Doświadczenia te pouczyły niezbitcie, że Klub wchodził natychmiast w stadium ostrego kryzysu, ilekroć tracił bezpośrednią łączność z ludem i że każda regeneracja odbywała się przez ponowne bezpośrednie zbliżenie się do mas. Dlatego Klub od dłuższego czasu był żarliwym urzędownikiem przedstawicielstwa parlamentarnego wybranego nie przez małą warstwę zamożnych obywateli, ale także przez najbiedniejszych w równych, powszechnych wyborach. Takie też były wrześniowe wybory do Konwencji, w której niezamożne warstwy francuskie uzyskały po raz pierwszy liczną reprezentację. Występując w Parlamencie pod nazwą Montagnardów, składała się ona z członków albo sympatyków Klubu.

Ale samo skasowanie wyborczego cenzusu majątkowego nie zabezpieczało jeszcze rzetelnej łączności reprezentacji parlamentarnej z ludem. Trudna współpraca Klubu z Parlamentem wywołała u klubistów głęboką nieufność do posłów. Dlatego w Klubie sformulowano tezę, że tak powiemy... apriorycznej niewierności poselskiej. Postawie niejako z natury rzeczy sprzeniewierzać się muszą tym, którzy im w wyborach powierzyli mandat poselski. Ambicje, korzyści materialne, pycha — towarzyszą nieodłącznie piastowaniu mandatów poselskich; prędzej czy później zepsuć się muszą nawet najlepsze intencje. Innymi słowy, uzyskanie mandatu poselskiego jest nieodłącznie związane z awansem społecznym, który siłą faktu wyrwa posła ze środowiska ludowego. Stąd prosty wniosek: że nad reprezentacją parlamentarną należy ustanowić stałą, bezpośrednią kontrolę ludu zorganizowanego w Klubie.

W ten sposób doktryna polityczna jakobinizmu zrywa z zasadą Monteskiusza domagającego się, aby każda władza ustawodawcza, sądownicza czy wykonawcza, była niezależna od siebie. Doktryna ta bowiem przyznawała ludowi, tj. faktycznie klubom, prawo inicjatywy ustawodawczej, kontrolę nad sposobem wprowadzania ustaw w życie oraz nadzór nad trybunałami, które sądziły zdrajców i wrogów ludu. Lud jest uprawniony w każdej chwili do zbadania działalności posła i do odwołania go, tj. pozbawienia go mandatu. Lud uprawniony jest do przedkładania petycji, które poseł obowiązany jest poddać pod obrady bez żadnych ograniczeń i zastrzeżeń. Jest to więc doktryna ludowładztwa w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Jej uzasadnienie nosi wszystkie znamiona egzaltowanego poglądu J. J. Rousseau'a: lud jest niezachwiany w swojej cności i dobroci i nieomylny w swym rozumie politycznym.

Ale... schodzi on na manowce uwiedziony przez zdrajców i wrogów. Oni też próbują skazić czystość doktryny. Dlatego Klub musi jasno i wyraźnie sformułować zasadnicze tezy

doktryny i bacznie czuwać nad jej nie warietatem. Ktokolwiek oddali się od generalnej linii wyznaczonej przez doktrynę, zostanie z Klubu wykluczony i sądzony jako zdrajca. Działania bezpośrednie, usystematyzowane i zorganizowane w działalności Klubu, będzie odtąd gwarancją rzeczywistych, niesfałszowanych rządów ludu. Dlatego Klub bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność nie tylko za skazanie i zgładzenie króla, ale również za krwawy error wrześniowy, w którym klubisci faktycznie odegrali małą rolę. W myśl tych poglądów, Klub zamachem stanu z 31 maja 1793 r. usuwa Żyrondystów z Konwencji. Odtąd coraz częściej i szybciej Klub przeprowadza czystki, które obejmują coraz inne grupy członków. Wśród przeciwników szepczą sobie: Un pur trouve toujours un plus pur qui l'épure! (Czysty trafi zawsze na jeszcze bardziej czystego, który go oczyści!). Posłano na gilotynę ateistów z Anarchisem Klootzem na czele. Idą na szafot Hebert i jego zwolennicy, określanii jako „wściekli”. Jako „pobłażliwi” zaś (między nimi znajdował się i Danton) zostają skazani na śmierć wszyscy ci, którzy nie wykazują dostatecznej gorliwości lub czystości moralnej.

Taki był jakobinizm w swej trzeciej, ostatecznej fazie. Zupełnie błędnie i opacznie przypisuje mu się tendencje ateistyczne, komunistyczne i międzynarodowe. Jest on bardzo umiarkowany w swym programie społecznym, ale bardzo krańcowy i radykalny w metodach działania. Metoda ta — to usystematyzowany terror, mający służyć umiarkowanemu programowi. W pamięci potomności zatarta się powściągliwość ideologii, a zachował się radykalizm taktyki.

SOCJOLOGICZNA CHARAKTERYSTYKA JAKOBINIZMU

Gospodarka narodowa rządu jakobińskiego opierała się na cenach maksymalnych, na sztywnych stawkach wynagrodzenia za pracę. Szalejąca inflacja podmyła fundamenty tej gospodarki. Towary znikły i były dostępne tylko dla zamożnych i najzamożniejszych. Stan ten zaciążył groźnie na życiu biedoty miejskiej, która przecież stanowiła właściwe oparcie społeczne jakobinizmu. Wytworzyła się sytuacja zupełnie paradoksalna. Kupiectwo i zasobniejsze rzemiosło a także chłopci, wszystkie te warstwy zastraszone terrorem, co najwyżej biernie tolerowały panującą regim. Ale właśnie one ciągnęły z niego największe korzyści gospodarcze. Każda próba naprawienia tych fatalnych stosunków gospodarczych musiała niechybnie wywołać rewoltę z ich strony. Rewolty tej jakobinizm pragnął uniknąć za wszelką cenę. Wskutek tego znalazł się on w ślepej uliczce, która wiodła prosto do zamachu 8 termidora. Bogate mieszczaństwo, korzystając z nędzy i niezadowolenia biedoty miejskiej, wyszło z dotychczasowej rezerwy. Pogarszającą się z dnia na dzień sytuacja zewnętrzna kraju, groźba nowej inwazji, zmęczenie wojenne — wszystko to ogromnie ułatwiło mu zadanie.

Takie oto były bezpośrednie, koniunkturalne przyczyny upadku jakobinów. Nie tłumaczą one jednakże, dlaczego jakobinizm jako doktryna polityczna ani razu nie odżył w ciągu XIX stulecia. To strukturalne załamanie się jakobinizmu miało przyczynić znacznie głębiej. Widzieliśmy, że jakobinizm był w istocie swej drobnomieszczański. Z ducha demokratyczny, starał się o jak najszersze oparcie społeczne, czyniąc duże koncesje gospodarce i ideologiczne zamożnemu mieszczaństwu i duchowieństwu. Kosztem tych ustępstw udało mu się rzeczywiście na krótki czas uzyskać dość szerokie oparcie społeczeństwa; w tym też sensie uzasadnione były roszczenia jakobinów do mówienia i działania w imieniu ludu, czyli przeważającej większości Francuzów. Ale na tym stanowisku utrzymywał się on stosując bezwzględny terror i nieustanne czystki, bez których nie można było zachować generalnej linii. Widać stąd, że z tak dużym trudem i kosztem tylu ofiar sklecone oparcie społeczne raz po raz groziło rozpadnięciem się i mimo wszystkich wysiłków rzeczywiście się rozpadło.

Na przełomie bowiem XVIII i XIX wieku Europa zachodnia weszła w stadium kryzysu gospodarczo-społecznego, z którego współcześni zupełnie nie mogli sobie zdać sprawy, gdyż skutki jego miały się ujawnić znacznie później. W tym czasie, gdy dojrzała i rozwijała się Rewolucja Francuska, dokonywała się równie gruntowna przemiana w narzędziach i metodach produkcji. Maszyna zastępuje rękodzielniczo, konie parowe motory — wysiłek mięśniowy ludzi i zwierząt, zespołowy podział pracy — indywidualną czynność rzemieślnika. Przemysł maszynowy — zmotoryzowany — produkuje masowo i tanio, wskutek czego upadają liczne gałęzie rzemiosła nie wytrzymując z nim konkurencji. Rzemieślnicy ekonomicznie samodzielni i na pół samodzielni chałupnicy — główny trzon drobnomieszczaństwa — tracą egzystencję i stacają się na dno nędzy. Ci zdeklasowani drobnomieszczaństwo tworzą wielki rezerwuarek robotniczy dla przemysłu fabrycznego, który się rozwija z ogromnymi rozmachem. Podobny, ale nieco powolniejszy proces, odbywa się w dziedzinie wymiany i komunikacji.

W ścisłym związku z tą „rewolucją przemysłową” dokonywują się gruntowne przeobrażenia w strukturze społecznej. Podział własności i różnice w stanie posiadania stają

się coraz bardziej nierównomierne. Przeważa część majątku narodowego, zarówno przemysłowego jak finansowego, przechodzi w posiadanie cienkiej warstwy społecznej. Wielka burżuazja staje się czynnikiem decydującym w życiu narodu. Wszystkie inne warstwy społeczne schodzą wobec niej na szary koniec. Wielka burżuazja uzależnia od siebie, z początku bezwiednie, później coraz bardziej świadomie także sfery umysłowe.

Przeobrażenia gospodarczo-społeczne pociągają za sobą gruntowny przewrót również w kulturze duchowej. W ten sposób na przełomie wieku XVIII i XIX dokonywują się jednocześnie dwa wielkie przewroty. Jeden — rozgrywa się na widowni dziejowej, głośno i barwnie, ze wszystkimi nieodzownymi w takich aktach dziejowych akcesoriami — Wielka Rewolucja Francuska! Drugi — rozwija się w podbudowie gospodarczej społeczeństwa, cicho i prawie niepostrzeżenie, ale zarywając się głęboko i podkopując pod same fundamenty struktury społecznej — „rewolucja przemysłowa”. Pierwsza — likwidując resztki nadbudowy prawnej i umysłowej feudalizmu, wywołuje potężny wstrząs w umysłach i pozostawia niezatarty ślad w świadomości wszystkich narodów europejskich. Druga — burzy dotychczasowe fundamenty wczesnego kapitalizmu i wznosi na ich miejsce, jeden po drugim, potężne filary kapitalizmu rozwiniętego. Niewątpliwie, Wielka Rewolucja Francuska toruje drogę i prostuje ścieżki dla „rewolucji przemysłowej”. Ale „rewolucja przemysłowa” szykuje zagładę społeczną i historyczną dla głównych aktorów Wielkiej Rewolucji.

Jakobinizm był obarczony historycznie wewnętrzną sprzecznością. Dążył on do dwóch przeciwstawiających się i nawzajem wykluczających celów. Wykorzenił resztki feudalizmu, a na oczyszczonym gruncie usiłował rozbudować i umocnić gmach społeczny oparty głównie, a może nawet wyłącznie, na niezależnym rzemieślniku, drobnym kupcu i średnio zamożnym chłopie. W swych aktach destrukcyjnych jacobinizm służył przyszłości. Jego plany konstruktywne kolidowały beznadziejnie z linią rozwoju gospodarczo-społecznego ówczesnej Francji i całej Europy zachodniej. Ta kolizja historyczna była istotną głęboką przyczyną nietrwałości i upadku jacobinizmu. Nie odżył on w ciągu wieku XIX ani jako ideologia, ani jako czyn. Po rewolucji lipcowej ustalają się we Francji rządy wielkiej burżuazji. Ciągłe jeszcze liczne we Francji drobnomieszczaństwo żyje odtąd w cieniu tej wielkiej burżuazji. Niechęć żywiąc się okrucinami z wielkopanów stołów, jest ono najzupełniej zadowolone: skarłowaciałe potomstwo wielkich przodków. Łatwo zrozumieć, dlaczego historiografia francuska wieku XIX tak często z wyraźną satysfakcją miotała inkwektywy na jacobinizm: bogate mieszczaństwo potępiało go, a drobnomieszczaństwo całkowicie straciło zrozumienie dla wysokich aspiracji politycznych swoich klubowych antenatów*).

Duch i sztandary rewolucji przechodzą w XIX w. do nowożytnego proletariatu przemysłowego. Ale rewolucyjny marksizm ani społecznie, ani historycznie nie jest bezpośrednim spadkobiercą jacobinizmu. Wprawdzie jacobini określają czasem siebie jako proletariuszy, ale określenia tego używają w takim sensie, jaki ono miało w starożytności klasycznej: oznaczają nim biedotę miejską. Nowoczesny proletariatus jako odrębna klasa społeczna powstał w wyniku „rewolucji przemysłowej”, zrodził się i dojrzał w łonie kapitalizmu rozwiniętego. Jeszcze większa jest odległość historyczna między bolszewizmem a jacobinizmem, leżą bowiem między nimi dwa stadia rozwoju kultury: stadium kapitalizmu rozwiniętego i stadium kapitalizmu monopolistycznego.

St. A. Majewski

*) Praca ta realizuje na przykładzie jacobinizmu postulat oparcia syntezy historycznych na socjologii. Z postulatami tym wystąpił autor na międzynarodowym kongresie filozofii w Paryżu (1937), formułując tam tezę, że tyle będzie w historiografii ścisłości, ile w niej będzie socjologii. (Tezy te zostały wydane w „Travaux du IX Congrès International de Philosophie”, także oddzielnie pt. „Epistemologie et sociologie”, Herman et Cie, Paryż 1937).

W poprzednim (78) numerze „Odrodzenia” z dnia 26 maja 1946: M. Kogan: Przemysł naftowy Stanów Zjednoczonych w drugiej wojnie światowej. — Marjałstwo polskie (Aleksander Kotski). — Jerzy Pomianowski: Elegia zapleca. — Grzegorz Timofiejew: Kęs chleba. — Tadeusz Różewicz: Śmierć podchorążego. Stąd. Dioniom poety. Uciszenie. Okruch. Gotyk i wiosna. — Helena Wielowieyska: W Krakowie. — Tadeusz Breza: Biblioteka Polska w Paryżu za czasów okupacji. — Jan Walczak: Niedosłone powstanie sprzed 70 laty. — Konstanty Grzybowski: Rok 1973: 40 milionów Polaków — 60 milionów Niemców. — Józef Sieradzki: Joachim Lelewel. — Julia Hornung: Współczesne malarstwo włoskie. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankietą „Odrodzenia” (Józef Baranowski, Kazimierz Brandys, Mieczysław Dereżyński, Karol Górecki, Wanda Grodzienka, Maria Lila Hanusz, Seweryn Hammer, Stefan Harassek, Janina Hurynowicz, Bogdan Kamiński, Zenon Klemensiewicz, Władysław Konopczyński, Tadeusz Kowalski, Władysław Kuczewski, Jacek Kurek, Franciszek Leja, Tadeusz Lityński, Tadeusz H. Nowak, Zygmunt Psarski, Witold Reiss, Jerzy Schneider, Eugeniusz Stuszkiewicz, Tadeusz Tempka, Szczesny Wachholz, Zygmunt Zawirski, K. W. Zawodziński). — Irena Barowa: Klejnoty i drzażgi. — Krystyna Kuliczewska: Książki dla dzieci i młodzieży. — Korespondencja (Władysław Sierozewski, Maria Szczepańska, Barbara Podowska-Palestrowa, Wiktor Hahn, S. B., Nelly Galecka-Strugowa, Jan Kott, Seweryn Pollak, Władysław Rymkiewicz, Jadwiga Wierzbicka, Roman Jasiński, Wanda Wertenstein). — hb: Surrealizm daje znaki życia. — Marian Promiński: Wśród księżek. — Bolesław Dudziński: Traduttore — traditore. — Stefania Łobaczewska: Zycie muzyczne w Krakowie. — Charlie: Repatrianci z Białowieży. — Marian Promiński: Kronika filmowa. — js: Polska współczesna. — 6 ilustracji. — 12 stron.

JERZY BOBER

Ślepy tor

Syn mojej gospodyni coraz częściej wracał do domu tuż przed godziną policyjną. Nie zwróciłoby to mojej uwagi, gdyby nie fakt, że odtąd unikał mnie starannie, jakby się bojąc poruszyć ten temat, który ni stąd ni zowąd wyrósł między nami.

Tomasz wprawdzie nie był moim przyjacielem, poznałem go bowiem dopiero tutaj, u matki, kiedy zmuszony okolicznościami przybyłem z Wieliczki, aby zamieszkać jako sublokator u Kłosińskich.

Tomasz był malarzem. Na malarstwie się nie rozumiałem, ale świat, którego życie obserwowałem, wywołany przez artystę poczynił mnie niepokoić. Musiałem mu o tym powiedzieć.

Paliliśmy papierosy, pieczołowicie skręcane w palcach z mocnego, niearomatycznego tytoniu. Krztusząc się powtarzałem mu, gdy siedział jakby trochę przyczajony nad obrazem: — Ślepy tor.

Popatrzył na mnie z pobłażaniem. Zawahał się chwilę, otwierając już usta do odpowiedzi, ale skończyło się tylko na wzruszeniu ramionami, wrócił do obrazu. Potem jednak podniósł głowę. Oczy jego wyrażały w tej chwili życzenie, abym sobie poszedł i nie przeszkadzał.

Uczyniłem to.

Jeszcze leżąc w łóżku, oddzielony od nocy zasłonami zaciemnienia, przypominałem sobie obraz, którego przeżyciem były dwa słowa, wypowiedziane do jego twórcy: Niepokoił mnie sens czerwonej przestrzeni, przeciętej wpół wątlą linią. To było wszystko. Linią zanurzoną we krwi farby wołała o ratunek dwa kwadratowe miejsca umieszczone pod nią, płynące do niej równolegle. Uprzytomniłem sobie, że słowo „płynące” wypadło tu dla mnie zupełnie nieoczekiwanie, ponieważ w obrazie nie było ruchu. Wiedziałem już. Szukałem ruchu. Teraz wydała mi się nieufność, z jaką powiedziałem Tomaszowi: — ślepy tor — jakby pogłębiona. Dostrzegłem granice eksperymentu. Ten rozmach, sztucznie podkreślony kolorem, nie zamierzał przytłaczać, bić — rozpyślał się — trwał w oczach tak długo, jak czas ognia bengalskiego.

Obserwowałem Tomasza uważniej. Nie powiedziałem już nic więcej.

Po pewnym czasie brnąć wśród własnych spraw, zapominałem o tym epizodzie.

Przypomnił mi go sam Tomasz. Wróciłem

TADEUSZ KUBIAK

DZIEJOPIS

I

Tych palców pięć zebranych w garstkę, to jakby białe, gęsie pióro — a pod nim kamień, gruz zwęglony, który na bruk w plomieniu runął.

Jest smukłym skrzydłem — jak jaskółka, gdy zapisuje czysty błękit, długo się waży i kołysze, jak ty, coś drżącym ruchem ręki spisywał dzieje nieżyjących na głazie zatopionym w ciszę zielonych kwiatów, traw i chwastów — podzwonne rodzinemu miastu.

Tych stóp zdrożonych tylko dwoje, a całą ziemię masz pod niemi i jak korzeniem sok kipiący ostatnie myśli nieżyjących wyciągasz chciwie z głębi ziemi, by ci na rękach i na ustach odkwitły krnąbrnie i ogniście — Tak właśnie czyni wiosną drzewo, z dna ziemi czarnej pędząc liście.

II

Co czynisz, mściwy dziejopisie. Oto rozdierasz spokój ziemi śmieszny rydzelkiem na Powązkach, na Mokotowie czy na Woli. Oto uprawiasz głuchą ziemię, zeschniętą tu na twardy krmień, szorstki piach miejski, żwir na skwerach, i wiesz, że to jest właśnie Polska, bo to cię w ręce gryzie, boli, bo tu zaleńczy syn umierał.

Co czynisz — brukiew i salatek obok pękających głów kapusty na miejscu tym, prawie że świętym sadząc — ogrodnik niepojęty. A gdzieby gruntu skrawek pusty ku niebu świecił skórka myśla, tam zaraz — ze znużenia mokry — tymian, lucernę albo kopry ot — nie zwlekając — siejesz dzisiaj.

Czy chcesz zielonym sprawom roślin powierzyć prochy jego kości. Czy chcesz w soczystym liściu szczawiu żuć jego gorzyc, którą krwawił. Czy chcesz powiedzieć — oto kości,

wtedy wcześniej z pracy i zastałem go w moim pokoju. Spacerował po dywanie, wkoło stołu, mechanicznie i prawie bez udziału samego siebie.

— Słuchaj — powiedział nagle — nie jest tak, jak ci się wydaje.

Przystanąłem na progu i zmrużyłem oczy. — Nie wiem o czym mówisz — przeszedłem przez pokój, ciężko siadając na kanapie. Stał przede mną, ale patrzył na palce dłoni, które wyciągnął przed siebie w dwóch wachlarzach. Wreszcie sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągając stamtąd dwa wymiętoszone „egipskie”. Rzucił mi jednego.

— Powiedziałeś: ślepy tor. Mam wrażenie, że ujmujesz pewne zagadnienia zbyt wąsko — strzelił przede mną zapałkę. Przerwał na chwilę, wciągał pierwszy dymek w siebie. po czym wyrzucił go wraz ze słowami: — Dlaczego ma być naturalizm?

Podłożyłem sobie ręce pod głowę i próbowałem pozycji leżącej. Umysł mój był zupełnie wyjałowiony dzisiejszym dniem w biurze, nie chciało mi się odpowiadać. Wypluwając skrawki tytoniu, bąknąłem: — Nie wiem.

— A widział — ucieszył się, przysunął krzesło i, siedząc na brzeżku, ciągnął — bo jesteś ciasny i nietwórczy. Nie rozumiesz, co znaczy przełamywać rzeczywistość, iść poza utarty ślad...

— Przeciwnie — odrzekłem już skupiony — nie neguję osiągnięć, ale to wszystko przepływa mi przez palce — nie zostaje. Może wzbogaca, lecz to są ćwiczenia ekwilibrystyczne, gdzieś na trapezach sztuki — prawdopodobnie bawią cię jeszcze, ale normalny człowiek dostaje zawrotu głowy. I ty powrócisz...

— Et — machnął ręką, wstał pośpiesznie z krzesła i wyszedł z pokoju. Przez niedomknięte drzwi słyszałem krzanie się starej Kłosińskiej po kuchni. Przymknąłem oczy. Bolała mnie głowa. Zupełny zmrok ścinał ostatki dnia zawieszony jeszcze na wąskiej przestrzeni u okna. Leżałem bez ruchu. Może i on odnalazł w sobie wątpliwości wobec eksperymentu?

Zaczynałem rozumieć powrót do zapomnianej rozmowy.

Kiedy po paru miesiącach, w obawie przed gestapo, zmieniliśmy miejsce zebrań i wchodziłem do mieszkania Mackiewiczów, spostrzegłem ze zdumieniem Tomasza, który gestykulując, tłumaczył coś Marii. Siedziała

kość z kości mojej, krew z krwi mojej — Po jakich proskach, azotniakach, saletrach — tyle zieloności miałyby liście — a kapusta... I nie dokończyłbyś i płakał, z garścią ściśniętą w pięść przy ustach.

III

Kim jesteś, mściwy dziejopisie. Łatwo być ojcem, który syna rozszrzelanego oplakuje i rozgrzebując piach na skwerze pod małe zagoniki warzyw, mogiły płytkiej się dokopie. O wiele trudniej stać się sędzią, zarówno dobrym jak i mściwym, i szukać pośród lych cmentarzy jedynej prawdy nieżyjących, która od dawna już łabędzią stała się pieśnią dla nas — żywych.

A jeszcze trudniej być poetą, by śpiewać tkliwą miłość rzeczy, z których dziś tylko słup powietrza, do czysta ogniem przepłukany pozostał — śpiewać gniew człowieczy i śmierć powszednią tak jak chleb, która ni gorzka jest ni lepsza, a wali prosto kulą w łeb...

IV

Lecz ty poeto-dziejopisie próżno byś słowem jak stał zimnym chciał o zielonej stali śpiewać. Próżno byś dłonią beznamiętną chciał wodzić pióro po papierze. Bo skoroś schylił się nad grządką, a potem nad mogiłą klęknął, do bólu cisnąc drzewce rydła w miejscu swej troski ogrodniczej, gdzie grabią bosa nożki płaków szcerstwiawą w słońcu grudkę piachu — gdy ojciec będzie z płaczem krzyczeć, a sędzia — sądzić, milcz, poeto. To nieżyjący niechaj śpiewa tobą — tak wiosną czynią drzewa, więc jak korzeniem sok kipiący ostatnie myśli nieżyjących wyciągasz chciwie z głębi ziemi, by ci na rękach i na ustach odkwitły krnąbrnie i ogniście —

Tak właśnie wiosną czynią drzewa z dna ziemi czarnej pędząc liście.

przed nim oparta rękami na stole, słuchała uważnie. Widziałem z przedpokoju jej błąd profil, prawie nieruchomy i jakby przypominający kameę, którą moja matka spinała kołnierzyk sukni.

Otworzył drzwi Mackiewicz.

— Jesteś wreszcie — powiedział do mnie prawie z wyrzutem. Czułem się jakoś nieswojo: i wobec Tomasza, którego dostrzegłem i wobec siebie. Odkrywaliśmy nasze drogi, ponownie zbieżne. Maria już mnie poznała, ale Tomasz odwrócony tyłem nie przewyślał swoich wywodów.

Dla dokładności policzyłem obecnych. Czwooro. To był właśnie zespół na dziś. Jeszcze nie wierzyłem w prawdziwą obecność Tomasza. Chyba przypadek przrządził jego wizytę. Doszukiwałem się tej przypadkowości, lecz bez wia-ry w zaprzeczenie zapytałem Mackiewicza: — Czwartego jeszcze nie przyszedł?

Wskazał na uchylone drzwi. Plecy Tomasza zasłaniały już zupełnie Marię.

— Jesteśmy w komplecie. Ten z centrali...

Spojrzałem na niego z niepokojem. Nie mogłem zrozumieć, że Tomasz...

Teraz dochodziły mnie spostrzeżenia z domu. Ta jego niespodziewana oziębłość, późne powroty. Wszystko to brałem początkowo za konsekwencje wynikłych różnic między nami. Obecnie widziałem już, jak rozrastał się jego świat, korzeniami w żywej ziemi i w walce. Jednakże nie napełniło mnie to zadowoleniem. Czułem ciągle poza Tomaszem niepewną linię, zanurzoną w czerwieni. Obraz ten zaskakiwał mnie zupełnie podświadomie, nie chcąc, może nawet niesłusznie. Tak. Na pewno byłem przewrażliwiony.

Nie otrzasałem się długo z asocjacji, które wyrastały przede mną w następnym dniu, w biurze. Oczywiście brakło mi ochoty do pracy. Leżały na biurku książki i papiery, obce, niepotrzebne i niematerialne. Zastanawiałem się nad ostatnimi tygodniami, z których zniknęła Płatkówna. Od niej się zaczęło.

Jeszcze pamiętam, siedziała obok, gadatliwa i rozśpiewana. Ileż napsuła mi nerwów, partacząc obliczenia w biurze. Nieraz dziwiłem się, że w pracy organizacyjnej potrafiła zatracać objawy zewnętrznej pustoty. Nie było jej. Czekaliśmy wszyscy, nawet stary Uhler, który polubił ją do tego stopnia, że gdyby nie jego wiek i stała obecność jednej z córek w biurze, myślałbym o chorobliwej miłości podtatusałego Niemca.

Uhler nigdy nie przypuszczał, że w grę wchodziła polityka. Był tak naiwny i jednocześnie przekonany o bezcelowości podobnych zabaw wobec zwycięskiej Rzeszy, iż w rozmowach z nami uśmiechał się z plotek jak małe dziecko.

Wtedy musieliśmy być bardziej ostrożni. Zdenerwowanie udzieliło się i mnie. Na nowym miejscu spotkałem Tomasza. Znowu zdążyłem sobie sprawę z drażliwości podejrzenia. Absolutnie nie mogłem mu nic zarzucić. Więc jednak wpływ rozwijającej się neurastenii. Spostrzegłem w sobie odruchy nieskoordynowane — odpływy krwi w chwilach szczególnego napięcia mózgu. Ręce trzęsły mi się, czułem to w nierównych laseczkach liter.

Potem przychodziło odprężenie. Spoglądałem z niesmakiem na siebie. Uczyłem się patrzeć na ludzi, jakby za moimi oczami stała wola przezwyćzajania uprzedzeń. Ale od obrazu Tomasza nie mogłem odejść.

Widywałem go częściej. A jednak coś tworzyło między nami ścianę, której przebić nie zdołała łączność konspiracji.

Któregoś dnia spostrzegłem na twarzy Tomasza inny wyraz. Kąty ust drgały w powstrzymywanym zdenerwowaniu. Szukał swojego towarzysztwa i ze szczególną gadatliwością począł przedstawiać mi walkę z przełamywaniem formy. Kiedy chciałem od siebie wtrącić pewne sprzeciwy, powstrzymał mnie zdecydowanym ruchem ręki i podniósł głos. Ciągnął swój monolog z pasją, powracał do wypowiedzianych już zdań, po czym niespodziewanie urwał i odszedł.

Zostałem pod wrażeniem niezwyklego nadmiaru słów, z których z dużą trudnością próbowałem sklecić sens wynurzeń. Były nagłe, nieusprawiedliwione i na pewno nie przeznaczone dla mnie. Myślałem, że gdyby mnie nie zastał, mógłby z powodzeniem wygłosić je w pustym pokoju.

Zastanawiał mnie jedynie fakt, że człowiek milczący i na ogół skryty, starał się mnie oszłomić nagromadzoną ilością wypowiedzi, jakby podświadomie bronił się przed stawianiem pytań, czy chęcią nawiązania zwykłej rozmowy.

Rano, zamiast do biura, postanowiłem przejść się do Marii. Stała w drzwiach zaskoczona moim przybyciem. Wyglądała tak młodo i dziewczęco, że na chwilę zapomniiałem o jej małżeństwie.

— Stało się coś? — zapytała z przestrachem, kiedyśmy przeszli z przedpokoju do mieszkania.

— Nie rozumiem. Co się miało stać? — odpowiedziałem, nie przykładając żadnej wagi do tych słów, byle otworzyć usta. — Przyszedłem, ponieważ nie mam ochoty siedzieć w biurze.

— Więc nie słyszałeś nic o Kinzu? „Kraukauer Zeitung” podała do wiadomości — mówiła szybko, podsuwając mi pod nos gazetę.

— Skąd mam wiedzieć — czytam gazety w biurze, pożyczając je od szefa. Oczywiście nie nie wiem.

— Kinz został wczoraj wieczorem zabity... — powiedziała z naciskiem.

— Przecież nie miał wyroku — przypominałem sobie sprawę szczupłego, niskiego volksdeutscha, konfidenta, później gestapowca.

— Pik wykonał wyrok.

— Pik? — zapytałem zdziwiony tym zestawieniem.

Tak. Nie posądzałem go o tyle zimnej krwi i odwagi. W mieszkaniu Kinza... Ciągłe nie umiałem sobie tego uzmysłowić. Poznałem Tomasza z tej strony, z której się nie spodziewałem. Jego obecne postępowanie zaskoczyło mój sposób myślenia. Jakby z westchnieniem ulgi opadło ze mnie tamto mroczne uczucie, pełne niepokoju.

Ktoś zadzwonił. Maria poderwała się i miękko podpłynęła ku drzwiom. Wstałem, zdecydowany odejść, choć czułem się w tym domu tak dobrze, odprężony od zewnętrznej rzeczywistości.

Dochodziły mnie głosy. Męskiego jeszcze nie poznawałem, natomiast Marii, bardziej dźwięczny, rozładowywał się w częstym śmiechu. — Czyżby Mackiewicz powracał tak wcześniej? — Poczulem niezadowolenie. Coraz częściej denierowała mnie jego obecność, która rozbiła czas spędzany z Marią. Zdawałem sobie sprawę, że to zazdrość. Nie pierwszy zresztą raz konstatowałem uczucie dla Marii.

Weszła uśmiechnięta, za nią Tomasz. Podeszedł do mnie i jakby z zakłopotaniem potarzała moją ręką. Cisnęło mi się dużo pytań na usta. Może je przeczuł, bo zauważyłem cień zmieszania w jego oczach. Przeniosłem wzrok na Marię. Była podniecona i niespokojna. Wyraźnie widziałem blask uwielbienia, kiedy przypatrywała się z boku, niechcąc, Tomaszowi.

Przekreśliłem w sobie nowe myśli o nim. Zdało się, że od tej chwili już zupełnie świadomie zniechęciłem go. Stałem przed nimi

sztynny i odpychający: — muszę już iść — powiedziałem obco, nienaturalnie.

Maria spuściła oczy. Zdawało mi się, że Tomasz przybrał minę wyzywającą. Ukłoniłem się i ceremonialnie pocałowałem kołce palców Marii. Z patetycznym uśmiechem wycofałem się do przedpokoju. Nie próbowali mnie zatrzymywać.

Obrzucałem po drodze Marię i wszystkie kobiety wyzwiskami tak ordynarnymi, że prawie odczuwałem ulgę. Nieprawda. Nie odczułem jej. Odtrącenie zapadało we mnie coraz głębiej.

A jednak przezwyciężyłem się, lecz Tomasz w następnych dniach unikał mojego spojrzenia. Upokarzało mnie to więcej niż otwarte wyzwanie.

Odtąd byłem już tylko poprawnym sublokatores w domu Kłosińskich. Zostawałem umyślnie dłużej w biurze lub brałem robotę do domu. U Mackiewiczów przestałem być, uczestnicząc tylko w najważniejszych zebraniach. Wydawało mi się nawet i wtedy, że Tomasz góruje nad wszystkimi enigmatyczną wartością swego czynu.

Wracałem do domu zziębnięty i przemoczo-ny. W teczce niosłem obliczenia, których w biurze nie zdołałem uzgodnić. Otworzyła mi Kłosińska. Twarz jej nieobecna, zapadła i nagle postarzała, zatrzymała mnie na progu. Oczy szkliste, jak w gorączce, skierowała na mnie boleśnie, oskarżająco. Zamknąłem drzwi. Przypadła do mnie i trzymając za klapy nasiąkniętego deszczem płaszcza, wgrzyzała się słowami w moją twarz:

— Coście z nim zrobili?! Zabiliście moje dziecko!

Spoglądałem na nią ogłuszony, bezradny.

— Zabrali go — głos jej przeszedł w szept

przejmujący, aż załamał się łkaniem — Tomasz...

— Aresztowany?... — wyjąkałem wreszcie. Nie zważała na mnie. Potrząsała mną z niespodziewaną siłą: — to wyście winni! — krzyknęła. — Już dawno podejrzewałam — opuściła ręce i cofnęła się, żeby dorzucić: — morderca!

Przesunąłem się obok niej i zza wpół otwartych drzwi pokoju, odpowiedziałem twardo:

— To nieprawda. Nie miałem nic wspólnego z Tomaszem.

Widziałem ją jeszcze opartą o ścianę, zwiotczającą i bezsilną. Pomogłem jej przejść do pokoju. Pozostałem ją w fotelu. Nie miałem siły do pocieszenia.

Długo w noc słyszałem jak płakała.

Wstąpiłem do Mackiewiczów. Chciałem zobaczyć Marię. Aresztowanie Tomasza załamało ją. Nie mogłem dłużej słuchać o tej sprawie. Wróciłem do siebie.

Za parę dni gestapo przyjechało po Mackiewiczów.

Wieczorem spotkałem się w moim pokoju z Tomaszem. Wyglądał zbiedzony i oczy świeciły błędnie.

— Mackiewiczowie aresztowani — rzuciłem mu na przywitanie. Pokiwał głową. Nagle zbliżył się do mnie i powiedział chrypliwie:

— To ja wyspałem...

Odchyliłem się i patrzyłem mu w oczy. Nie wytrzymał, zasłonił się powiekami.

— Bałem się — bili...

— Nie mogę zrozumieć — postawiłem mu zarzut wprost — zabiłeś Kinzega, dałeś wodów niezwykłej odwagi, a tu potrafiłeś się załamać...

— Z Kinzem było inaczej — wybuchnął — znałem go dawniej jeszcze, a odkąd po pija-

nemu wygadałem się o organizacji, trzymał mnie w szachu i terroryzował. Pod groźbami wymógł na mnie dostarczenie listy. Żyłem w ciągłym strachu — i przed nim i przed organizacją. W tamtym dniu przyszedłem do niego, czytał z zajęciem listę, a później odezwał się: — mam teraz wszystkich w ręku. Wyciągnął rewolwer i kładąc go na biurku, powiedział: — ciebie też nie minie nagroda pod płotem. Cóż ty myślisz, że cię jeszcze potrzebuję? Niepotrzebni nie powinni zabierać miejsc pozostałym. — Zrozumiałem wówczas, że nie mnie nie uratuje. Poderwałem się, ale broń w jego ręce przygniotła mnie z powrotem. Podeszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. W jednej chwili, oszalały ze strachu rzuciłem się na niego. Upadając, uderzył głową o kant biurka. Zemdlął. Dobilem go przy-ciskiem z biurka. Strach wypędził mnie na ulicę. Dopiero wobec szefa tłumaczyłem się czym innym. Otrzymałem odznaczenie...

Stał teraz przede mną obnażony, szary.

— Ślepy tor — przebiegło mi przez myśl. Nie odczuwałem już nawet pogardy do stojącego. Opadłem na kanapę zakrywając twarz rękami.

Było ciemno. W oczach miałem Marię, szepczącą z uwielbieniem: — Pik...

Gdy się ocknąłem, nie było już nikogo w mieszkaniu. Tomasz zniknął. Nie spotkałem go do końca wojny.

Po opuszczeniu miasta przez Niemców znalazłem inne mieszkanie.

Tylko raz przechodząc koło domu Kłosińskich, zauważyłem klepsydre: Kłosiński Tomasz, lat 26, podporucznik W.P., zginął na Polu Chwały w walce o Berlin.

Widziałem już obecnie dokładnie granicę linii z jego obrazu.

Jerzy Bober

JAN HŁASKO

Układ sił politycznych w Palestynie

Rozwój gospodarczy Palestyny do r. 1939 opierał się na szybkim uprzemysłowieniu kraju przez Żydów oraz na powolnym procesie przenikania elementów kapitalistycznych do zacofanej feudalnej gospodarki arabskiej. Oczywiście decydującym czynnikiem była i nadal pozostała, kapitalistyczna gospodarka żydowska, opierająca się na własnym i anglo-żydowskim systemie finansowo-bankowym, na młodym lecz stosunkowo technicznie zaawansowanym przemyśle, oraz rolnictwie opartym głównie na zasadach swobodnego kolektywizmu.

Palestyna oglądana przez pryzmat arabskich stosunków ekonomicznych wyglądała do r. 1939 jak kraj niezmiernie ubogi i cofnięty w rozwoju. Rozwój kapitalizmu arabskiego w tym kraju pozostaje nadal w tyle w porównaniu z wieloma krajami kolonialnymi, nie mówiąc o sąsiednim Libanie i Egipcie, gdzie Arabowie już przed wybuchem drugiej wojny światowej przechodzą szybko na tory rozwoju kapitalistycznego. Gospodarka arabska w Palestynie do r. 1939 miała charakter wyłącznie rolniczy, feudalny. W związku z tym powstałe fabryki czy przedsiębiorstwa kapitalistyczne zatrudniają mniej chętnie robotnika arabskiego niż robotnika żydowskiego. Warstwa burżuazji jest bardzo płytka, a proces klasycznej proletaryzacji arabskiego chłop-fellaha i tradycyjnej pauperyzacji kupiectwa arabskiego odbywa się w trudno jeszcze dziś uchwytym tempie. Druga wojna światowa stworzyła dla Palestyny pomyślną koniunkturę. Kraj ten stał się bowiem ośrodkiem zaopatrywania wielkiej armii. Konieczność zaopatrzenia wojska przyspieszyła rozwój przemysłu żywnościowo-przetworczego, rozbudowy sieci dróg, budowy urządzeń obozowych dla wojska itp. Z koniunktury wojennej skorzystał głównie czynnik przemysłowy żydowski, w mniejszym stopniu arabski. Natomiast duży popyt na siłę roboczą zlikwidował całkowicie bezrobocie wśród Żydów, a także w wielkim stopniu objął fellahów. Biuletyn „Palnews“ z połowy stycznia 1946 r. podaje:

„Na razie nie ma danych oficjalnych z końca r. 1945. Szacunkowo można przyjąć liczbę 1,8 milionów, z czego okragło 350 000 Żydów — jeśli nie więcej”.

„...Liczba zatrudnionych w przemyśle żydowskim wzrosła w latach od 1939—1945 prawie w dwójnasób”.

„Ze spisu rządowego wynika, że również przemysł arabski i inny nieżydowski rozwinął się pokaźnie. Liczba zatrudnionych więcej niż podwoiła się itd.”

Obecnie, mimo zakończenia wojny, pomyślna koniunktura trwa nadal, a przedstawienie gospodarki wojennej na pokojową dopiero się rozpoczyna. Nastąpi to prawdopodobnie w roku bieżącym, co spowoduje zapewne poważny wstrząs ekonomiczny. Ten sam biuletyn „Palnews“ podaje:

„Pytanie zasadnicze co do dalszego rozwoju przemysłu krajowego dotyczy kwestii, do jakiego stopnia przemysł nasz potrafi utrzymać nowozdobytą w czasie wojny pozycję produkcyjną wobec konkurencji importu. Chodzi zarówno o ceny jak i jakość. Niewątpliwie wiele osiągniętych

w czasie wojny pozycji wytwórczych da się utrzymać, ale również pewne, że nie obejmie to wszystkich artykułów. Po upływie okresu przejściowego należy się więc liczyć ze zdecydowanym, cofnięciem produkcji przemysłowej, zarówno pod względem wartości jak i jakości”.

Niewspółmierności rozwoju gospodarczego i siły produkcyjnej Arabów i Żydów w Palestynie odpowiada niewspółmierność rozwoju politycznego.

Arabska część Palestyny tkwi jeszcze w feudalizmie. Poza administracją angielską — królem władza arystokracja arabska. Formy arabskiego życia politycznego nie są dostosowane do pojęć XX wieku.

W Europie motorem ruchów nacjonalistycznych była zawsze burżuazja. W nacjonalistycznym ruchu arabskim, obejmującym część Indii, Persji, Iraku, Libanu, Syrii, Transjordanii, Algier, Arabię Saudyjską, Egipt, Libię, Trypolitanię, Marokko i Palestynę, nie burżuazja — bardzo słaba i płytka — ale warstwa feudalne kierują polityką nacjonalistyczną. Arabowie palestyńscy nie przejawiają jeszcze dziś tendencji do wyodrębnienia narodowego z morza arabskiego. Niemniej jednak już obecnie zarysowują się cechy lokalne, regionalne, które wskazują na dążności separatystyczne Palestyny w sensie państwowo-narodowym w stosunku do sąsiednich krajów arabskich.

*

Działalność nacjonalistów arabskich pociąga masy arabskie. Ma ona dwie zasadnicze cechy. Pierwsza — to hasło wyzwolenia narodowego w walce przeciw imperializmowi angielskiemu, druga — to walka przeciw ludności żydowskiej. W rzeczywistości jednak cały wysiłek nacjonalistów poruszenia mas arabskich ma na celu głównie walkę przeciw Żydom, natomiast nie jest skierowany przeciw władzom angielskim.

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza »Czytelnik« ustanowiła

coroczną nagrodę »Odrodzenia« w wysokości 100.000 zł.

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w maszynopisie na ręce jury.

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia“: Kazimierz Czachowski, Maria Dąbrowska, Julian Krzyżanowski, Wacław Kubacki, Karol Kuryluk, Stanisław Łempicki, Kazimierz Wyka.

Wszelką korespondencję w tej sprawie prosimy kierować na adres redakcji »Odrodzenia«: Kraków, Basztowa 15, m. 8.

walka o władzę i wpływy. Jest to jednocześnie walka konkurencyjna między różnymi bogatymi rodzinami. W ostatnich czasach dał się zauważyć pewien rozdzźwięk między starszym a młodszym pokoleniem. Różnica powstała wskutek tego, że młodzi przyjmują metody walki politycznej z Europy, co wyraża się w ich sympatiach dla faszyzmu. Ale jest to różnica pozorna, gdyż ciężenie ku faszyzmowi, a zwłaszcza ku nazizmowi niemieckiemu, dało się stwierdzić również w starszym pokoleniu.

Najsilniejszą partią arabską jest tzw. „Palestyńska Partia Arabska“. Jest ona bardziej znana jako partia arystokratyczna rodziny Husseini (nie należy mieszać tego nazwiska z królem Husseini). Rodzina ta ma w swych rękach 50 000 dunamów ziemi w różnych częściach Palestyny. Oficjalnym wodzem tego ugrupowania był niegdyś zwierzchnik rodziny — Mussa Kazim Pasza El Husseini, poseł jerozolimski do parlamentu tureckiego w okresie młodotureckim. Po jego śmierci wodzem został Muhammed Emin El Husseini, znany jako Wielki Mufti. Sekretarzem partii był kuzyn Muftiego, Dżemal El Husseini, który wrócił ostatnio do Palestyny. Już przed wojną działacze ci nawiązali bliskie stosunki z faszyzmem włoskim i hitlerowskimi Niemcami. Wysłani z Palestyny wzięli czynny udział w powstaniu Rashida Ali w Iraku w roku 1941. Celem powstania było oddanie surowców i Iraku w ręce niemieckie. Po zgnieceniu powstania Dżemal El Husseini uciekł do Persji, lecz po zajęciu Persji przez wojska sojuszników został schwytany i Anglicy zesłali go na Rodezję. Wypuszczony na wolność otrzymał oficjalne zezwolenie władz angielskich na powrót do krajów arabskich, również do Palestyny. W czasie podróży Dżemal odwiedził Egipt, Syrię i Transjordanie.

Dżemal El Husseini nie jest jedynym z uczestników powstania Rashida Ali, którym pozwolono na powrót. Sam Rashid Ali uciekł z grupą swych przyjaciół z Persji do Niemiec, gdzie spędził lata wojny jako „honorowy gość“ Hitlera, a następnie po zakończeniu wojny opuścił Niemcy, aby udać się do Arabii Saudyjskiej, gdzie król Ibn Saud przyjął go również jako „honorowego gościa“. Wraz z nim przyjechali jego przyjaciele polityczni. Są wśród nich i Niemcy, którzy przyjęli mahometanizm. Traktuje się ich również jako honorowych gości.

Warto zaznaczyć, że król Ibn Saud kategorycznie odmówił rządowi irackiemu wydania Rashida Ali. W związku z tym rząd angielski oświadczył, że nie jest zainteresowany w sprawie wydania Rashida Ali i towarzyszy i że traktuje ją jako spór wewnętrzny między Irakiem a Arabią Saudyjską.

Wielki Mufti Muhammed Emin El Husseini po zgnieceniu powstania Al Rashida Ali dotarł szczęśliwie do Niemiec, gdzie Hitler przyjął go na specjalnej audiencji. Kierował on organizacją mahometańskich i arabskich oddziałów w armii niemieckiej i uprawiał propagandę nazistowską przez radio berlińskie. Po klęsce Niemiec został przetrzymany we Francji jako „honorowy jeńiec“ wojskowych władz alianckich. W czasie wojny był czę-

to w Jugosławii, gdzie mobilizował do armii niemieckiej mahometan z Bośni. Podobno rząd jugosłowiański zażądał wydania go jako przestępcy wojennego, ale bez rezultatu.

Partia Husseinich zażądała uwolnienia go i pozwolenia mu na powrót do Palestyny. Ogłosiła ona, że uważa go za wodza narodu arabskiego. W czasie jego nieobecności kierownictwo partii sprawował Dżemal. Niedawno Wielki Mufti powrócił do Palestyny.

Partia Husseinich jak i inne partie arabskie nie uznają zasad demokratycznych. Nie ma tu pojęcia członka partii, nie ma zjazdów wyborczych, nie ma wyborów władz partyjnych. Czasem, kiedy zachodzi potrzeba, zbierają się przywódcy bogatych rodów i ich adherenci. Na takich zebraniach patriarchalno-towarzyskich zapadają decyzje we wszystkich sprawach.

Oficjalnym celem partii jest osiągnięcie państwowej samodzielności Palestyny przez stworzenie narodowego, **muzułmańskiego** państwa arabskiego z Muftim Eminem El Husseinem na czele, który stworzyłby nową arabską dynastię królewską. Partia wyznaje oficjalnie zasadę panarabizmu, podczas gdy Mufti stoi na stanowisku panislamizmu. W roku 1932 był on organizatorem zjazdu panislamistycznego w Jerozolimie (był tam również znany reaccionista perski Tabbat Baj, który obecnie tak zajadle zwalcza perskich demokratów i postępców). Mamy tu do czynienia z pozorną różnicą programu partii i jej wodza. Różnica ta jest jednak tylko taktyczna ze względu na Arabów chrześcijan, których partia nie chce utracić. Stanowisko Muftiego nadaje partii charakter panislamistyczny; ze względów taktycznych jednym z sekretarzy partii jest Emil Guri — chrześcijanin na pokaz.

Partia Husseinich całą uwagę skupia na walce o swoje cele polityczne, natomiast sprawami społecznymi i sytuacją arabskich robotników i chłopów nie interesuje się zupełnie. Kiedy po rozruchach w r. 1937 urzędowała komisja Peela, przesłuchiowano Dżemalę Husseinę w sprawie przyczyny pogromów. Korzystając z okazji ostro zaprotestował on przeciw istniejącej wielkiej rozpiętości płac robotnika żydowskiego i arabskiego. Na pytanie komisji, czy żąda, by płac robotnika arabskiego podniesiono do poziomu płacy robotnika żydowskiego, odpowiedział negatywnie. „Zupełnie mnie nie interesuje wysokość płacy robotnika arabskiego, lecz uważam za niedopuszczalną wysokość płacy robotników żydowskich”.

W ostatnich czasach partia ta przejawia niekiedy zainteresowanie robotnikami arabskimi. Czyniła nawet próby stworzenia organizacji robotniczej pod swym kierownictwem, lecz tylko, gdy miało to uniemożliwić kontakt między robotnikami żydowskimi i arabskimi. Według słów Dżemalę, tylko tak można ratować robotników i fellahów przed komunizmem i syjonizmem.

Partia Husseinich zyskała od samego początku dość energiczne poparcie pewnych kół administracji angielskiej. Kola te wymusiły wybór Emina El Husseiniego na Muftiego Jerozolimy (wybrano właściwie 3 kandydatów, z których każdy uzyskał więcej głosów niż Emin; rząd zmusił jednak wszystkich trzech do rezygnacji i wówczas pozostał na placu Emin El Hussein). Rząd palestyński we wszystkich krajach arabskich, znajdujących się pod władzą angielską, reklamował Emina El Husseiniego jako Wielkiego Muftiego. Czynił to również w Indiach. Pomógł mu w nawiązaniu kontaktu z kierownikami reakcyjnej Ligi Muzułmańskiej w Indiach.

Należałoby tu powiedzieć o pewnej politycznej kombinacji angielskiej. Otóż Jerozolima była świętym miejscem zarówno dla chrześcijan różnych obrządków już i dla Żydów. Nigdy natomiast nie była miejscem świętym dla Arabów-muzułmanów, którzy uważali jedynie Mekkę za swą świętą stolicę. Na pewno Kair ma więcej religijnych zabytków i świątyń muzułmańskich niż Jerozolima. Anglikom jednak zależało na zainteresowaniu wszystkich Arabów Jerozolimą. Dlatego też agenci angielscy namówili mahometan hinduski do pochowania zwłok muzułmańskiego działacza hinduskiego, Muhameda Ali, w Jerozolimie. Od tego czasu Mufti wszelkie zjazdy muzułmańskie zwoływał do Jerozolimy, czyniąc z niej centrum islamu i jego święte miejsce.

Wybrany za sprawą Anglików na Muftiego Jerozolimy Emin El Hussein został również przewodniczącym najwyższej rady duchowieństwa muzułmańskiego, wskutek czego w rękach rodziny Husseinich znalazła się kontrola nad wszystkimi dobrami ziemskimi duchowieństwa, czyli nad tzw. „wakuf”. I jeszcze jedno — gdy kontakt Muftiego z hitlerowskimi Niemcami zmusił władze palestyńskie, na krótko przed wojną, do pozbowienia Emina stanowiska Muftiego, nie zdobyły się one na wyznaczenie innego Araba na jego miejsce, pozostawiając je nieobsadzone.

Kontakt partii Husseinich z faszystyzmem włoskim nawiązany został w r. 1930 za pośrednictwem przywódcy Drużów Emira Shekiba El Arslana. Doszło do porozumienia między Muftim a Mussolinim. Jednym z efektów tej umowy było to, że organ partii Husseinich, „Djamiya el Arabia” wstrzymał się od wszelkiej krytyki faszystwu włoskiego. Gdy Włosi napadli na Abisynię, gazeta ta przedstawiała sprawę w ten sposób, że koniec końców Abisynia jest krajem chrześcijańskim,

MALARSTWO FRANCUSKIE



PAUL CÉZANNE (1839—1906)

Autoportret (olej)

gnębiącym mahometan, nie ma więc powodu, by Arabowie sympatyzowali z nim.

Dążenie do stworzenia arabskiego państwa muzułmańskiego z Eminem El Husseinem na czele dyktuje partii Husseinich bezwzględna walkę zarówno przeciw imigracji żydowskiej jak i przeciw żyjącym już w Palestynie Żydom. Wykorzystując antyżydowskie tendencje anglo-palestyńskiej administracji, partia Husseinich domaga się całkowitego zakazu imigracji żydowskiej i prowadzenia takiej polityki gospodarczej, która zniszczyłaby również gospodarczą pozycję Żydów w tym kraju. Stanowisko partii Husseinich w polityce międzynarodowej ujawniło się wyraźnie w r. 1937 po wybuchu powstania gen. Franco w Hiszpanii, który oparł się głównie na pułkach mahometan marokańskich. Partia Husseinich wyraziła wówczas solidarność z muzułmanami wojującymi po stronie Franco. Aby zadokumentować swe profaszystowskie stanowisko partia Husseinich rozpętała w tym czasie wraz z innymi nacjonalistycznymi ugrupowaniami arabskimi falę pogromów żydowskich. Rząd palestyński, patrząc początkowo na ten ruch przez palce, żywiąc cichą nadzieję, że zachowa on wyłącznie charakter antyżydowski. Oficjalnie jednak musiał zastosować środki przeciw zbrojnym napadom na Żydów. W odpowiedzi na to nacjonaści arabscy dokonali zamachu na jednego z przedstawicieli administracji brytyjskiej, kpt. Andrews, podobno sympatyka syjonizmu. Sytuacja skomplikowała się. Zarówno zamach jak i ujawnienie kontaktu partii Husseinich z faszystyzmem zmusiło do usunięcia Emina ze stanowiska Muftiego i do rozwiązania Naczelnej Komisji Arabskiej, na którego czele stał Mufti. Jednakże dano mu możliwość wyjazdu z Palestyny do sąsiedniej Syrii, skąd nadal kierował ruchem. Rząd palestyński szukał jednak dróg do porozumienia się z Muftim. Dowodem tego było zwołanie do Londynu w r. 1939 konferencji „okrągłego stołu”, celem zbadania możliwości załatwienia sprawy palestyńskiej. Wynikiem konferencji była tak zwana „Biała księga”. Na czele delegacji arabskiej stał kuzyn i współpracownik Emina El Hussein! Dżemal.

Delegata żydowskiego na konferencję aresztowano natychmiast po powrocie do Palestyny. Mimo kompromisowego gestu, jakim bezsprzecznie była „Biała księga”, ograniczająca imigrację Żydów do Palestyny, do porozumienia między rządem angielskim a rodziną Husseinich nie doszło. Przyczyną tego były zapowiedzi zbliżającej się wojny i obietnica hitlerowskich Niemiec oddania całej Palestyny jako państwa arabskiego w ręce rodziny Husseinich. Niemcy obiecali Husseinim władzę polityczną nie tylko w Palestynie, ale również w innych krajach arabskich.

Ujawnienie oficjalnego kontaktu między Husseinim a Berlinem zmusiło rząd palestyń-

ski do rozwiązania partii. Działalność jej jednak trwała w czasie wojny nadal w postaci cichej, lecz usilnej agitacji wśród Arabów przeciw jakiegokolwiek pomocy sojusznikom w ich wojnie z hitleryzmem. Propagowano również zwycięstwo Niemiec, a w związku z tym wyzwolenie wszystkich Arabów przez Hitlera. Powszechność tego rodzaju propagandy w świecie arabskim i w ogóle muzułmańskim miałem okazję stwierdzić osobiście. W czasie kilkakrotnego pobytu w Persji, Iraku i w Palestynie w latach 1942—43 nawiązałem znajomości z muzułmanami perskimi, irackimi i palestyńskimi. Zarówno Persowie jak Arabowie iraccy czy palestyńscy z pogranicza Transjordanii twierdzili z uporem, że zwycięstwo Hitlera jest pewne, że gdy ono nastąpi, obok potężnych Niemiec, Włoch i Japonii powstanie również olbrzymie państwo muzułmańskie. Ciekawą rozmowę miałem z dwoma szekami z Transjordanii, którzy nie kryli się z tym bynajmniej, że są w kontakcie z agentami hitlerowskimi.

Po klęsce Niemiec hitlerowskich partia Husseinich wyraziła gotowość umowy z Anglią. Zasadniczym warunkiem było wyrażenie przez Anglię zgody na powrót do Palestyny wodza partii, Wielkiego Muftiego. Rząd angielski wyraził zgodę na to żądanie. Partia została ponownie zalegalizowana. Wielu działaczy i kierowników partii, którzy w związku ze swą nazistowską robotą przebywali poza granicami Palestyny, otrzymało również zezwolenie na powrót. Jednym z nich jest Dżemal El Hussein.

Palestyna jest małym, choć ważnym ogniwem w łańcuchu krajów arabskich. Walki konkurencyjne pomiędzy różnymi dynastiami i pretendentami do tronów mają również wpływ na układ sił między partiami arabskimi w Palestynie. Partia Husseinich popiera np. w polityce ogólno-arabskiej króla Ibn Sauda, zwalcza natomiast dynastie Hashemitów, do której należy emir Abdullah. Przyczyny szukać należy w roszczeniach dynastii hashemickiej, rządzącej Irakiem i Transjordanią, do władzy nad Palestyną, co oczywiście nie odpowiada dynastycznym ambicjom Husseinich.

Wkroczenie Stanów Zjednoczonych A. P. na tereny Bliskiego Środkowego Wschodu utrudniło Anglii jej politykę. Stany Zjednoczone mają w swych rękach wiele atutów. Są nimi: bogactwo nieuszczerplonej wojną i potężny potencjał przemysłowy, zdolność konkurencyjnego przemysłu brytyjskiego i jak dotychczas „czyste ręce” w opinii muzułmanów, którzy nie zetknęli się jeszcze z następstwami wielkokapitalistycznej polityki amerykańskiej. Apetyty Ameryki na naftę arabską wywołały duże zamieszanie i obawy w kołach angielskich. Należy przypuszczać, że porozumienie egipsko-saudyjskie nie dokonało się bez pomocy amerykańskiej. Przyznanie „niepodle-

głości” Transjordanii i ściśle stosunki z rządem irackim wskazują na próby rządu angielskiego zajęcia pozycji obronnej wobec Amerykanów, oraz wolę podtrzymywania sporu dynastycznego między dwiema grupami państw muzułmańskich. Coraz gwałtowniejsze domaganie się Egiptu, Libanu i Syrii wycofania wojsk brytyjskich wskazują, że sytuacja na Bliskim Wschodzie zaostrzyła się.

Po opuszczeniu Związku Radzieckiego oddziały armii Andersa przewędrowały cały prawie Bliski i Środkowy Wschód z wyjątkiem Turcji. Ludziom, którzy umieli patrzeć, rzucała się w oczy ohyda nędzy arabskiej, kontrastująca z bogactwem kraju i luksusowym poziomem życia cienkiej warstwy tubylców i administracji angielskiej. W takiej sytuacji coraz uprzejmsze wieści o rozwoju kulturalnym ludności muzułmańskiej w Związku Radzieckim i o potęgę tego wielonarodowego państwa, musiały docierać do świadomości wynędzniałych mas Bliskiego i Środkowego Wschodu. Działo się to po prostu bez propagandy, bez istnienia partii rewolucyjnych, bez działalności agentów politycznych. Kolonialna administracja angielska jak i reakcjonści wszystkich krajów tłumaczyli sobie zwykłe dążenia wyzwolenicze jako podżeganie tajnych agentów. Nic bardziej fałszywego, zwłaszcza jeśli chodzi o kraj muzułmański, gdzie człowiek żyje w niewoli tradycji, przesądów i feudalizmu. Jak dotychczas, proces rozbudzenia świadomości odbywa się bardzo powoli. W czasie wojny wzmożł się on, wskutek czego tu i ówdzie pojawiły się pierwsze narodowe organizacje rewolucyjne. Szybciej proces ten przebiega wśród Ormian rozsiansych po całym Wschodzie.

Ciekawym przyczynkiem do „lojalności” sojuszniczej był stosunek administracji angielskiej na Środkowym Wschodzie do ZSRR. W miejscach publicznych widziało się plakaty z Churchilllem, Rooseveltem i Stalinem, gdy jednocześnie agenci administracji lokalnej przedstawiali Arabom ZSRR jako kraj lekkich obyczajów, jako wroga islamu itd. Część Arabów palestyńskich jak i tych z ościennych krajów interesuje się jednak coraz więcej dalekim krajem, z którego przyjeżdżają do Mekki pielgrzymi, niosący ze sobą prawdę o własnych szkołach narodowych, uniwersytetach, o własnej literaturze i sztuce narodów tak pokrewnych Arabom religijnie i tradycjami.

Zarówno w Libanie jak i w Palestynie, mnie, Polaka w mundurze wojskowym, pytali Arabowie o Polskę i ZSRR. Wyrażali niejednokrotnie radość, że znalazł się Polak, który inaczej niż jego koledzy i oficerowie w mundurach angielskich opowiada o Związku Radzieckim. Nie mogło im się pomieścić w głowach, by kraj, tak oczerniony przez Polaków z armii Andersa, mógł być jednocześnie zwycięzcą nad państwem niemieckim, którego potęgę uzmysławiali sobie Arabowie aż nadto dobrze.

Nic więc dziwnego, że Arabowie w dążeniu do wyzwolenia narodowego coraz częściej spoglądają w kierunku ZSRR. Nawet wrogowie ZSRR widzą w tym kraju przeciwwagę dla imperializmu angielskiego.

W obecnym okresie układ stosunków może robić wrażenie chaosu, lecz jest to wrażenie pozorne. W krajach arabskich krystalizują się po prostu tendencje do uwolnienia się spod „opieki” brytyjskiej.

Partia rodziny Husseinich ma konkurenta w walce o wpływy i znaczenie. Jest nią partia drugiej bogatej rodziny arystokratycznej Nashashibi i jej klientów. Nazywa się ona „partią obrony narodowej”. Rodzina Nashashibich podobnie jak rodzina Husseinich jest starym rodem jerozolimskim, który tradycyjnie tworzy opozycję przeciw rodowi Husseinich. Popierają ją te rodziny arystokratyczne, które obawiają się wzrostu sił Husseinich.

Między obydwoma partiami nie ma istotnych różnic ani w poglądach politycznych, ani też społecznych. Nashashibi są jednak słabsi i nie pretendują do stworzenia własnej dynastii. Dlatego też skłonni są do popierania dynastii Hashemitów, a zwłaszcza emira Abdullahę z Transjordanii, który jest głową rodu Hashemitów. Bliżsi są więc sercu administracji brytyjskiej.

Rodzina Husseinich obsadziła główne stanowiska duchowne. Rodzina Nashashibi zajmuje natomiast przeważnie stanowiska kierownicze w miastach arabskich i częściowo w rządowej administracji palestyńskiej. Stosunek jej do hitleryzmu i faszystwu różnił się wprawdzie od postawy Husseinich, ale i jedni i drudzy są wrogami wszelkiego postępu i tworzą ten obóz, któremu zależy na utrzymaniu mas arabskich w ciemnocie. Ich walka przeciw Żydom ma charakter obrony przywileju obłupiania ze skóry fellahów. Nie należy jednak wyciągać z tego wniosków, że całość ruchu syjonistycznego ma charakter postępowy. Nie ulega wątpliwości, że rozbudowa gospodarki żydowskiej przyczyniła się w wielkiej mierze do rozkładu starych stosunków feudalnych. Jednakże tragedią Żydów jest to, że: 1. znajdują się w morzu arabskim, 2. starają się rozwiązać wyłącznie zagadnienia żydowskie, wbrew interesom arabskim, 3. cechuje ich krótkowzroczność i mimo wszystko oglądanie się na potęgę W. Brytanii, dla której Żydzi w Palestynie są obecnie kulą u nogi, gdyż uniemożliwiają polityczne kombinacje z Arabami.

Jan Hlasko

MARIA JAROCHOWSKA

ARGONAUTY*

Kiedy wiosną 1945 r. kosa elektryczna Emalierni zaczęła ciąć arkusze blachy na kwadraty, gdy w krakowskich fabrykach gumy, różowe węże drenów poczęły wysuwać się z automatów podobnych do maszynek mielących mięso i zawirowały miedziane bębny u Wandera, wypełnione tysiącami pastylek, które barwi się na jaskrawe i pastelowe kolory — wtedy w uruchomionych fabrykach wśród zmagających się załóg robotniczych z brakiem węgla, surowca i aprowizacji na pierwsze miejsce wysunął się problem odzyskania wywiezionych przez Niemców maszyn. Wskutek zdekompletowania prawie wszystkich urządzeń fabrycznych niektóre fabryki mogły otworzyć tylko pewne działy produkcji, te, w których braki maszynowe można było uzupełnić. Inne musiały część procesu produkcyjnego wykonywać w zakładach posiadających brakujące im urządzenia. Tak fabryka „Kabel” swój materiał do walcowania posyłała aż do Będzina, płacąc za każdy przewalcowany kilogram 5,75 zł, gdy koszt walcowania u siebie wynosiłby 20 gr za 1 kg.

Robotnicy zdawali sobie sprawę, że kwestia powrotu maszyn to częstokroć po prostu sprawa dalszego istnienia fabryki. Jeszcze fale Odry rozdzielały dywizje czerwonej gwiazdy i czarnej swastyki, jeszcze niedoszły król świata układał w komfortowych podziemiach oszalałe słowa swego historycznego testamentu — kiedy robotnicy polscy już rozpoczynają starania o rewindykację maszyn. Nie jest to sprawa prosta. Przewidujący okupant, jak mógł, starał się zatrzymać szlak wywozu maszyn i miejsce ich ukrycia. Robotnicy często nie zdołali wysiedzieć tej kryjówki. W innych wypadkach jak np. w Wytówni Sygnałów doszła ich już fatalna wiadomość, że w Witkowicach koło Morawskiej Ostrawy samoloty alianckie zbombardowały przewiezione tam urządzenia, a surowiec — mosiądz, stopił się przy pożarze. Czasem znów Niemcy wywozili maszyny daleko na zachód, do amerykańskiej czy angielskiej strefy okupacyjnej. Mimo to żadna z fabryk nie rezygnuje ze starań o rewindykację.

Do najbardziej charakterystycznych należy historia fabryki „Kabel”. Jej bohaterzy to Jach, krępy robotnik o poważnych oczach i rozszniewanych ustach, ogromny, smukły inż. Moskalewski, dawny kierownik jednego z działów produkcji, a obecnie wybrany przez robotników dyrektor i ośmiu robotników, stanowiący zespół, który pewnego lipcowego poranka ruszył pod Frankfurt odbierać swoje maszyny. Wątku tej opowieści nie powstydziłby się skomponować sam Karol May, twórca najbardziej powikłanych awantur uwielbianych przez miliony chłopców świata, ani Jack London, opowiadacz podzwrotnikowych i podbiegunowych przygód. Historia ta zrobiłaby niewątpliwie karierę w filmie amerykańskim, wbrew nieuzasadnionemu przekonaniu producentów filmowych, że prawda jest mniej fotogeniczna od fantazji.

Fabryka „Kabel” w Płaszowie to największy w Polsce zakład tego rodzaju, zatrudniający pół tysiąca robotników i produkujący kable nawojowe (do motorów), szmatowe (do radia), dalekosiężne, morskie, przewody elektryczne, wyłączniki, kontakty itd. Wstrasznych miesiącach lata 1944 r. Niemcy wywieźli z „Kabla” 80 wagonów maszyn i 360 surowca. Bezsilni wobec przemocy robotnicy z narażeniem życia ukryli metryki maszyn, a każdy list przewozowy na zrabowany wagon kopiovali starannie. Już wtedy w dniach przerażenia i rozdzierającej rozpaczki wiedzili na pewno jedno: nadejdzie czas, gdy odbiorą swoje maszyny.

Po wyzwoleniu, „Kabel” uratowany przed rabunkiem dzięki samorządnej opiece robotników rusza już w końcu stycznia jako jedna z pierwszych fabryk na terenie Krakowa. Niemal od pierwszego dnia rozpoczyna się żmudne śledztwo nad dokładnym ustaleniem miejsca złożenia maszyn i starania o ich odzyskanie. Dziś, kiedy wiele urządzeń powróciło już w Polskę do swych macierzystych fabryk, wyśiłki robotników „Kabla” wydają się zupełnie zrozumiałe. Rok temu niejeden urzędnik i niejedno zjednoczenie uważało je za dziwaczną utopię. Nieszkodliwe, choć szlachetne maniactwo.

— Co wam w głowie, wojna nie skończona, a wy ciągle o maszynach. Gdzie ich teraz będziecie szukać?

— Tam, gdzie nas nie znali, to nas poznali, a gdzie indziej też poznali — stwierdzał z pogodnym uporem przewodniczący Rady Zakładowej robotnik Goczał.

W Berlinie, dymlącym jeszcze swą ruiną, przybyli z Krakowa dyr. Moskalewski prowadził dalej niezmordowane starania.

Fabryczne maszyny znajdują się w trzech odległych od siebie miejscowościach: Bauzen pod Dreznem. Mastig w Czechosłowacji i Fürstenberg pod Frankfurtem. W połowie lipca wyrusza do Fürstenbergu 9 robotników i dyrektor. Wiozą ze sobą pozwolenie odebrania

maszyn, uzyskane od dowództwa 33 Armii Radzieckiej i — jako dowody własności — uratowane przed Niemcami metryki maszyn. Już w Poznaniu pierwsza bariera przeszkody. Dyrekcja kolei nie dysponuje pociągiem, który mógłby pojechać po maszyn. Na interwencję majora radzieckiego pociąg się znajduje. Nie popisała się jednak dyrekcja kolei. Gdy zespół dociera do Frankfurta, okazuje się, że nie ma połączenia kolejowego z oddalonym o 25 km Fürstenbergiem. Na nic nie przyda się z trudem zdobyty w Poznaniu pociąg.

Zgnębieni robotnicy docierają do Fürstenbergu. Radziecki komendant wojenny przyjmuje ich nieufnie. Miał już niezbyt korzystne doświadczenia z polskimi książętami szabru.

— A wam po co te maszyny? — pyta opryskliwie.

— Dla fabryki — odpowiadają.

— Dobry interes wam się marzy.

— Nie, to dla fabryki. Mamy pozwolenia i papiery.

— Pewno orderzy chcecie dostać — a? — nie dowierza im.

Jak tu z nim mówić. Może by jaki kuban? Zaczynają ogólnikowo. O wódce, o jedzeniu. Nie idzie. Nic z tego. Rozmowa wydaje się beznadziejna. Zniechęceni zabierają się do odwrotu. Olbrzymia postać komendanta zagradza im niespodziewanie drzwi wejściowe wypełniając je całkowicie ogromem atletycznego ciała.

— Ode mnie nikt jeszcze bez poczęstunku nie odszedł.

A w drugim pokoju jest zupełnie jak w smakowitej, uwielbianej przez łakomczuchów bajce: „stoliczku nakryj się”. Jedzą i rozmawiają dalej. I widocznie tyle właśnie czasu potrzebowali komendant, by przekonać się i uwierzyć w szczerą intencję zespołu, bo po chwili daje im bezcenną radę: Swoje maszyny mogą wywieźć jedynie barkami po Odrze. Niech jadą do generała Zernowa, komendanta portów i żeglugi w Berlinie a uzyskają od niego pozwolenie na spław wraz z przydziałem odpowiednich galarów.

W jakimś czasie potem inż. Moskalewski i Jach są już znowu w Fürstenbergu wraz z pozwoleniem od gen. Zernowa. Komendant miejscowy udziela teraz robotnikom jak najdalej idącej pomocy. Dostarcza niemieckich robotnic do ładowania cegły szmatowej, daje drzewo, pozostawia grupie całkowitą swobodę we dnie i w nocy. Rozpoczynają się 2 tygodnie nieopisanego wysiłku i heroicznej pracy. Fürstenberg to dziwne miasteczko rozgoryczonych kobiet i zdziwionych starców. Strach przed Armią Czerwoną rzucił wszystkich mężczyzn gdzieś w głąb Niemiec. Ponure i zacięte Niemki o twarzach wypranych łzami do białości nie zdążyły nawet pochować hitlerowskich książek propagandowych, które pozornie poniewierane wycierają z każdego kąta i setkami swych butnych tytułów wzniecają wściekłość w sercach polskich robotników.

Ale mężczyźni do pomocy nie ma. Dziesięciu ludzi musi ustokrotnie swe siły. W dzień na wózkach przewożą z żelaznych baraków swoje maszyny nad Odrę i ładują je na galary, w nocy posługują się dźwigiem, który jest wolny tylko od wieczora do rana. Na sen pozwolili sobie można tylko co parę dni, z jedzeniem — ostrożnie koledzy, bo zapas zabrany z Krakowa musi starczyć jeszcze na długo. Oszczędzają groch, kaszę i makę. W czternaście dni 500 ton maszyn i surowca przewedrowało z baraków na galary, nie żadnym czarodziejskim środkiem lokomocji, nie z cudowną lekkością latającego dywanu, ale każda poszczególna część, każdy tryb czy sztaba odciskała swój kształt na robotniczych ramionach.

10 sierpnia galary ruszają. Pali słońce, leńniwie bełkocą fale, między niebem a wodą wiozą robotnicy swe maszyny do Polski. Wzorem uregulowane brzegi Odry są przerażająco puste. Dostanie domki pod kapeluszanami czerwonych dachówek zieją jamami wylupionych okien i drzwi. Żaden komin nie przedłuża się smugą popielatego dymu. Po falach żeglują balony wzdętych brzuchów utopionych koni i krów. Często tuż koło krawędzi galaru wynurzy się z wody sflaczały, zielonoszary kadłub. Na piersi butwieje naszyty wizerunek orla z czarną swastyką w chwytliwych szponach. W szklistych, nie mających się już nigdy zamknąć oczach odbija się mroczne niebo. Rój malutkich rybek otacza topielca wirującym kregiem, raz po raz przywierając żarliwie do opuchłej galarety ciała, a fale kołyszą z dobrośliwą obojętnością nieruchomą postać, której mordercze porwy uczyszyła na wieki sprawiedliwa śmierć. W delikatnym seledynie wiklin przybrzeżnych czernieją trupy zwierząt, a niezliczone zwłoki uzbrojonych ludzi przywierają ciasno do ziemi, zastępie w ostatnim geście strachu, buntu, zdumienia czy rezygnacji. W promieniach słońca błyszczą oślepiająco stalowe części porzuconego rymsztunku, w półkulach hełmów nagromadziła się rdzawa deszczówka, a dzikie kaczki prują bezszelestnie wodę między szuwarami, omijając odważnie sterujące lufy zatopionych armatek.

Milczą robotnicy. Jest bardzo cicho. Tą ci-

szą śmierci, nie uspienia. Aż raz wścieka się jeden z flisaków wyznaczonych do spławu galaru. Stary Niemiec, od 45 lat pracujący „na wodzie”.

— Jakby duch Hitlera w niego wstąpił — opowiadał z powagą Jach, już później, dużo później w Krakowie.

Niemiec zaczyna krzyczeć, że to jeszcze nie koniec. Niech nie myślą! Za dwa, trzy lata trzecia wojna. Jeszcze zobaczają!

Jakoś go uspokajają.

Tymczasem zaplanowana na 10 dni podróż przedłuża się do 22 dni. Oszczędzana zapobiegliwie żywność wreszcie się kończy. Trzeba przybijać do brzegu, kopać kartofle, piec je i jeść ze smakiem nieomaszczone. Przypominają się czasy letnich obozów harcerskich, tylko to, co wtedy było oczekiwaną z niecierpliwością atrakcją, dziś jest jedynym posiłkiem.

W Steinau grzęzną galary na mieliźnie. Po zerwaniu trzech mostów dno jest silnie zamulone. Dziesiątki podobnie unieruchomionych barek tkwią spokojnie na mieliżnach niby umyślny pomost. Pachnie smołą roztopioną przez żar powietrza. Na drewnianych pokładach statków skończono żołnierze radzieccy odwracają twarze ku promieniom słońca i zawodzą tęsknie piosenki znad dalekiego Donu czy Wołgi. Nie spieszy im się. Przebiegli pędem piorunu od Stalingradu do Berlina, wracać już mogą wolniej.

Ale polscy robotnicy nie mają czasu. Gdzieś w Krakowie towarzysze niecierpliwiają się w fabryce, a materiał ciągle walcuje się aż w Będzinie.

— Musicie czekać aż spadną deszcze, wcześniej nie ruszycie — zapewniają z udaną obojętnością miejscowi flisacy.

Ale radziecki komendant wojenny przychodzi z pomocą. Na jego rozkaz trzy parostatki sowieckie przeciągają przez mieliżny polskie galary w oczach zdumionych niemieckich flisaków i żołnierzy radzieckich na barkach, którzy czekają na to samo od dawna, ale niezwykli dziwić się niczem.

Po trzech tygodniach podróży galary ładują w Gliwicach w porcie wojennym. Tutaj czeka 10 nowych robotników przybyłych z Krakowa. Już wieczorem podstawiony zostaje pociąg. Sprawnie pracują ogromne i mocne dźwigi. W dwie doby zostają załadowane 23 wagony. Grupa wraca do Krakowa, pozostaje tylko paru konwojentów. Cztery dni czekają na odjazd. W pewną upalną noc nie chce im się jakoś spać. Na niebie mrugają wrześnie gwiazdy, w ciemności migocą czerwone ogniki papierosów. Półszepem wspominają dni minione i mówią o przyszłych. Nie zwracają uwagi, że wokoło nich wzbiera jakiś tajemniczy ruch. Niespodziewany wstrząs, zgryzt na szynach i 11 wagonów z maszynami rusza w ciemność. Przytomny Jach, pchnięty instynktem, bez płaszcza, z gołą głową, jednym susem wskakuje na ostatni z umykających wagonów. Pociąg zajeżdża na jakąś małą stację. Okazuje się, że klika przemysłowych szabrowników uplanowała sobie zrobić złoty interes na cudzych maszynach. Gdyby nie szybka reakcja Jacha, kto wie czy cały wielotygodniowy trud robotników nie podszedłby na marne.

W połowie września przyjeżdżają maszyny do Płaszowa. W jedną noc wyładowuje je podniecona załoga fabryki. Przywieziona walcownia — serce zakładu — ma być według obliczeń inżynierów uruchomiona na pierwszego listopada. Dyrekcja obiecuje ogromne premie za każdy dzień wcześniejszego uruchomienia. Nie przypuszcza jednak, że walcownia zostanie zmontowana w trzy tygodnie, to znaczy na 16 dni przed terminem.

13 października odbywa się poświęcenie walcowni i pierwsze próbne walcowanie. Ciężkie, grube, rozżarzone do czerwoności wałki miedzi prowadzone z akrobatyczną zręcznością rękami robotników przesuwają się sycząc przez ostudzone wodą walce, aby w chwilę parę wyjechać poza hale w postaci cienkiego drutu kablowego, podobnego już raczej do czerwonej aksamitki. Transparent nad walcownią woła kolorowymi literami: „Co horda hitlerowska zniszczyła, polskie ręce odbudowały”. I w tych prosto sformułowanych słowach mieści się właśnie sens robotniczej wyprawy argonautów. Byli to ludzie prości, a nie jak wtedy w Beoci najświetniejsi bohaterowie całego kraju. Walczyli nie o berło dla królewskiego syna, lecz o byt kilku setek ludzi. Zamiast Herkulesa u steru chybkiej Argo mieli na zbutwiałym galarze przeklinającego ich starucha. Groźne mieliżny zostały pokonane nie przez cudne dźwięki Orfeuszowej lutni, ale przez sapanie trzykominowych parostatków. Miał zakochanej czarodziejki Medeji, przepięknej morderczyni, pomógł im olbrzym w mundurze, o twarzy szpetnej i sprawiedliwym sercu. Wspaniała królowicz Jazon nakładał jarzmo na spizowe, plujące ogniem byki Hefajstosa, a nieduży robotnik Jach skakał tylko na stalowe wagony, gdy zdradziecko chcieli mu ponownie zrabować maszyny. I chociaż trudności wyrastały równie mnogie jak uzbrojeni wojownicy z posiewu smoczyc zębów na zie-

mi kolchidzkiej — robotnicy okazali się równie nieustraszeni jak mityczni herosi. A zdobyte runo było naprawdę złote. Przywiezione maszyny mają wartość 10 milionów złotych.

Bohaterski czyn robotników „Kabla” nie jest historią odosobnioną. W tym samym dniu, gdy po półtorarocznej przerwie rozpala się piec w odzyskanej walcowni „Kabla”, do Fabryki WYROBÓW Cukrowych „Społem” (dawniej Pischinger) dwóch robotników: członek Rady Zakładowej Stabach i główny mechanik fabryki przywożą tryumfalnie 13 wagonów z ładunkiem 260 tysięcy kg. W wagonach piętrzą się drewniane skrzynie. Na chropawej powierzchni wilgotnych desek, znaczonej ornamentem stojów, grają kolorami prymitywne rysunki kredkowe. Poteźna maszyna między rozłożonego na ziemi Hitlera. Na ramieniu, ruchem przerażenia podniesionym do góry, odcina się czerwona opaska z czarnym przekleństwem swastyki. I koślawy podpis: „Chcieliście lotry wszystkim zarobować a musieliście maszyny oddać”.

W skrzyniach spoczywają maszyny przywiezione aż z Witnicy koło Kostrzyna. Księgowie fabryki ukrywał numery wywiezionych przez Niemców wagonów i szczegółową specyfikację maszyn. Po wyzwoleniu jeden z pracowników, zmobilizowany jako szofer do Wojska Polskiego, dostał się do Witnicy i sprawdził, że maszyny są. I robotnicy przywieźli je do fabryki. Zardzewiałe, pogięte, uszkodzone, ale są z powrotem. Po kilkumiesięcznym oczyszczeniu i remoncie zamruczą znowu na fabrycznych halach.

A w Elektrowni Miejskiej w majowy, przeświecony słońcem ranek, w przeddzień tegorocznego Święta Zwycięstwa, stanął na czystym, wzorowo utrzymanym i okolonym zielenią skwerków asfalcie dziedzińca szpaler olbrzymich szpul drewnianych z nawiniętymi wężami czarniawych kabli. Na każdej szpuli układają się w równiutkie szeregi białe lakierowane litery napisu: „Eigentum Elektrische Werke Krakau”. To 82 bębny kabli zapasowych, które robotnicy przywieźli w 14 wagonach z Görlitz. Samochodami przetransportowano również 15 skrzyń materiałów samochodowych i technicznych, liczniki itd., zrabowane przez Niemców w 44 roku. Ciężar transportu — 200 ton, wartość milionowa. Rewindykacja nie przyszła łatwo. Przede wszystkim dyrekcja Elektrowni nie wierzyła w zrealizowanie marzeń o odzyskaniu maszyn.

— Prędzej ministerstwo coś by zrobiło, ale my sami na pewno nie. Szkoda trudu.

Ale robotnikom trudu nie szkoda. W sierpniu 45 roku dwóch jedzie do Zgorzelca, przechodzą na drugą stronę granicy do Görlitz i o 3 kilometry dalej, w miejscowości Weinhibe, znajdują w lesie cały dobytek Elektrowni na wół przysypany ziemią. Natychmiast zabierają do Krakowa skrzynie żelazne, w których Niemcy z chytrą złośliwością kartków wywieźli plany sieci kablowej Elektrowni Krakowskiej oraz Gazowni w Krakowie i Lublinie. W razie przerwania kabla szukanie miejsca uszkodzenia bez planu sieci przypominałoby niezdarne błądzenie ślepca w tajemniczej a rozległej ciemności.

Argument przywieźnię skrzyń nie przekonuje jednak dyrekcji Elektrowni. Dopiero w końcu listopada pod naciskiem koła PPR i Rady Zakładowej wybrana zostaje delegacja: Stefan Nowak — monter laboratoryjny, Ignacy Wawszczyk — mechanik i tokarz i Wojciech Niemiec — kierownik samochodowy.

— Jedźcie i bez kabli nie wracajcie — mówi sekretarz koła, Pociąg. Nie wracają rzeczywiście przez 5 miesięcy. Przeszło kwartał wloką się żmudne starania rewindykacyjne, uciążliwe a wytrwałe wędrówki między Warszawą, Berlinem, Dreznem i Zgorzelcem. W końcu marca robotnicy mają już wszystkie pozwolenia. Z pomocą dostarczonych przez Arbeitsamt robotników niemieckich przystępują do ciężkiego mozołu przetransportowania bębów z kablami z Görlitz na stację Zgorzelce-Ujazd. Dniem i nocą trwająca praca ciągnie się do pierwszych dni maja.

Kiedy w stolicach całego świata robotnicy z tryumfem niosą w dniu swego święta miliony sztandarów i transparentów głoszących prawdę proletariackiej łączności — trzech robotników w Görlitz dźwiga z lepkiego mułu ostatnie szpule kilkotonowych kabli. A gdy po całej Polsce huczą w dniach majowych świąt pieśni patriotyczne, okrzyki tną powietrze, a na festynach ludowych dudnią orkiestry — pracownicy Elektrowni w milczącym wysiłku ładują na wagony z pomocą zwykłej windy samochodowej swoje bębny.

— Elektrownia Krakowska jeździ po mieście jak straż pożarna — gorszą się nieruchomości Niemcy görlitzcy, kiedy przez ulice miasta raz po raz przesuwa się naładowane lub wracające puste platformy.

Jednej nocy, ciemnej jak noc mordu w kryminalnych powieściach, grup Niemców przetacza jeden z najcenniejszych bębów do pobliskiej szopy i zamazuje na nim napisy. Nazajutrz niemieccy robotnicy zaklinają się z żarliwością najkłamliwszych świadków, że kabel — ho, ho — jeszcze przed wojną tu leżał.

* Por. „Historia zaniedbana” w nr 75 „Odrodzenia”.

— Jak to, ten gwóźdź to ja sam w Krakowie wbijałem — krzyczy z wściekłością podniecony Wawszczyk, który rok temu musiał własnoręcznie pomagać przy opakowywaniu kabli.

Na korzyść robotników rozstrzyga dopiero delegat przybyły specjalnie z Berlina, z oddziału Ministerstwa Przemysłu.

— Pewno, żeśmy nie dali, kominy byśmy im zabrali, a nie taki dobry kabel dać — wspomina dziś mściwie Nowak.

I na koniec zupełnie nieoczekiwana groteska, która zdaje się być wprost wymyślona przez pomysłodawcę humorystę o bezczelności karanej już nieraz grzywnami. Humoreska — gdyby tak wyraźnie nie charakteryzowała

germańskiej duszy. Niemiecki zarząd miasta żąda od robotników 8.000 marek jako zwrot kosztów za przewóz kabli... z Krakowa do Görlitz.

— A kto wam, diabły, kazał przewozić? — spytał się nie bez racji Wawszczyk, z jak najbardziej niewinną miną.

Tak mniej więcej wyglądają w kilkusetwierszowym skrócie niektóre, nierzadko kilkusetdniowe boje i sukcesy tych ludzi, tak nielicznych w przerażającym chaosie naszej epoki, którzy wiedzieli czego chcą i umieli swoje osiągnąć.

Robotnik Jach świat cały widzi poprzez siatkę kablowych rur.

— Gdzie się tylko człowiek ruszy — mówi

z powagą — wszędzie widzi: **kabla brak**. I w Poznaniu i w Gliwicach, i w Warszawie i w Katowicach — szkoda mówić — potrzeba miliony metrów. W Gdańsku nie byłam, ale tak samo przypuszczam. Trzeba produkować. Straszliwie pokiereszowana Polska potrzebuje nie tylko kabli. Trzeba jej niezliczonej ilości cegły i szkła, blachy i papieru, lakieru i gwoździ, stali i gumy, tkanin i narzędzi.

Od kilkudziesięciu lat produkują fabryki krakowskie. Ale jeśli za parę lat nowe kable przynosić będą przez przepaście przestrzeni do najdalszych chłopskich osiedli skarb elektrycznego prądu, jeśli bezpiecznym blaskiem żarzyć się będą reflektory na operacyjnych salach i lampy płonąć spokojnie nad biurka-

mi uczonych, a dzieciom nie brakuje potrzebnych im słodczy — będzie to zasługa tych wszystkich, wtedy już pewno zapomnianych, Jachów, Nowaków, Stabachów i Wawszczyków — owych robotniczych zdobywców, których nazwisk nie uświetnia nawet złote litery wyrzeźbione na marmurze pamiątkowych tablic. Kto wie, czy legenda awanturniczych wypraw tych argonautów XX wieku dotrze w ogóle do następnego pokolenia, a rozpędzona w erze napędu rakietowego historia nie zdąży na pewno utkać mitu o nowych Jazonach i jako półbogów unieśmiertleń ich w pamięci ludzkości na zawsze.

Maria Jarochowska

TADEUSZ BREZA

Spotkania polskie w Paryżu

Przed kilkoma dniami miałem odczyt jeszcze ciągle w związku z wizytą pisarzy polskich w Paryżu. Po odczycie podszedł do mnie jeden ze słuchaczy i zapytał:

— „Dlaczego pan, wróciwszy z Francji, pisze i mówi tylko o Francuzach?” — „A o kim mam?” — zdumiałem się. — „O Polakach! Przecież ludzi u nas na pewno więcej interesuje to, co teraz w Paryżu robią Polacy, niż to, co robią tam Francuzi!” — Owszem! tylko, że my pojechaliśmy do Paryża w sprawach kultury, a nie polityki i dlatego z mnóstwa zagadnień, które narzucił nam pobyt w Paryżu, wybraliśmy zagadnienia intelektualne i literackie. Może wcale nie najważniejsze ze wszystkiego na świecie, ale w pewien sposób nas obowiązujące. Z konieczności zatem musieliśmy pozwolić, aby nieco nam zesła z horyzontu bolesna sprawa naszej ostatniej emigracji. Węć tylko kilka słów o niej z tego co widziałem kątem oka.

Zacznijmy od tego, że Paryż nie jest dzisiaj — jak bywał przez cały wiek XIX — stolicą emigracji. Punktem centralnym jest Londyn, Paryż to tylko miejsce, gdzie krzyżują się różne drogi naszej emigracji niepokojonej z krajem. Na ulicy słyszy się często mowę polską, niektóre ulice roją się od ludzi z namiennikami „Poland”: żołnierze wracają z urlopów, z Włoch i do Włoch, z Belgii, gdzie jest trochę polskiego lotnictwa, z Holandii, czy też od generała Maczka. Dla tych podróżnych Paryż jest nie tylko miejscem postojów, dla wielu z nich jest miastem, które obrali sobie na urlop. Niektórzy są w mundurach polskich korpusów strażniczych podległych Ameryce, inni chodzą w cywilu. Spotykaliśmy ich w pojedynkę czy też kroczących całymi grupami. Nasz hotel znajdował się w pobliżu Tuilerii, misja wojskowa londyńczyków musiała się tam znajdować również. Nieraz bowiem, kiedy — rozmawiając po polsku — kręciliśmy się koło hotelu z Iwaszkiewiczem czy Rudnickim, zatrzymywali nas ktoś, widać niedawno przybyły do Paryża i pytał o drogę do misji. W okolicach ulicy Grenelle nasze drogi krzyżowały się z Polakami w ubraniach cywilnych, dobrze ubranymi, czasem z wyższymi oficerami. Tu blisko mieści się polska ambasada londyńczyków. Oczywiście mówię o „antymisji” i „antyambasadzie”. Na jej czele stoi Kajetan Dzierykraj-Morawski, kierownik ministerstwa spraw zagranicznych w rządzie przedmajowym Witosa, ten sam, z którego w „Cyrulniku Warszawskim” śmiano się, że po maju musiał swój przydomek odstąpić Piłsudskiemu. Przez cały ciąg czasów przedmajowych Morawski zwolna szedł w górę, zaczął pracę w ministerstwie ledwie że pełnoletni, niezwykle zdolny, po piętnastu latach objął stanowisko naczelnego, ale na krótko, bo przyszedł maj. I znów Morawski, odsunięty przez sanację na boczny tor, zwolna jechał w górę, aby po latach, w ostatnim rządzie Składkowskiego, zostać wiceministrem skarbu. Tym razem nadszedł wrzesień. Potem emigracja! Na emigracji minął rok i drugi, zanim wrzescie Morawski został zamianowany ambasadorem przy de Gaulle'u. Kiedy jednak Francja uznała Rząd Tymczasowy, Bidault musiał cofnąć Morawskiemu „agrément”. Ale oto coś się dzieje. Morawski nie opada na sam dół, do czego los go przyzwyczaił! Zatrzymuje się w połowie drogi. Przestał być ambasadorem, ale zarazem nadal jest ambasadorem albo raczej antyambasadorem. Z pięknego pałacu polskiej ambasady przy ulicy Talleyrand musi się wynieść! Tak! Ale osiada w nowej, choć skromniejszej siedzibie przy rue de Grenelle. Ma przy sobie hr. Mohla, radcę ambasady, majora Zdziechowskiego, attaché militaire, ma biuro, ma archiwum, ma fundusze. Nie on jeden, to samo zdarzyło się przeciw całemu rządowi londyńskiemu ze wszystkimi szefami i kolegami Morawskiego. Nie znikli z powierzchni życia politycznego, z życia publicznego, ale uskokczyli w bok. Ich ścieżka biegnie obok naszej (jak oni ją zwą: „warszawskiej”, dawniej mówili „lubelskiej”, przedtem „chełmskiej”, a na samym początku „moskiewskiej”) tworząc jakąś dziwną, złudną i rozpaczliwą Polskę „bis”, „para”, czy też raczej „metapolską”.

Jeden z jej wyznawców i jeden z jej obywateli pokazuje mi noworoczny numer naczelnego londyńskiego pisma. Na pierwszej stronie oglądam fotografię Raczkiewicza,

który przyjmuje protokolarnie powinszowania na Sylwestra. Obok niego stoją jego ministrowie, naprzeciw grupa ambasadorów, posłów pełnomocnych i na samym przedzie jakiś prałat. Rok który to? — 46! — „O! To jest ambasador hiszpański! A to poseł taki a taki, a to znów poseł inny!” — Zdumiewam się. Mój rozmówca powiada: — „Gdyby do pana tak przyszło w dniu Nowego Roku tylu panów we frakach i przy orderach, żeby panu powinszować na nowy rok prezydentury, wierzyłby pan, że jest pan prezydentem, czy nie?” — „A to co — pytam — przy niektórych są takie krzyżki?” — „Zaznaczam sobie w ten sposób posłów, którzy już odpadli! Mamy teraz marzec, przez trzy miesiące spadło ich siedmiu!” — „Do przyszłego powinszowania ilu myśli pan, że zostanie?” — pytam. Mój rozmówca pokazuje mi na jednego: — „Ten zostanie na pewno!” — „To znaczy jaki?” — „Ambasador generała Franco!” — Przytykam oczy. I widzę już taką całą siatkę stosunków międzynarodowych, „para” stosunków, „meta” stosunków. Przy widmowych rządach ambasadorzy widma, nuncjusze widma, posłowie widma. Cały jeden taki drobny, kompletny globik.

Mój rozmówca wyciąga z kieszeni notesik. Na końcu ma w nim zapisane różne adresy francuskich ministerstw, urzędników, instytucji, do których chodził interweniować z ramienia „antyambasady”. — „Skreślam te” — powiada — „gdzie mi mówią, żebyśmy więcej się nie zjawiali, gdyż odtąd w tych sprawach, o które mi chodzi, będą już tylko przyjmować ludzi z rue Talleyrand!” — „A czym pan sobie tłumaczy, że dotąd pana tam przyjmowano?” Wyjaśnia mi: — „Nasza ambasada była jedną z pierwszych zamianowanych przy de Gaulle'u. Kiedy alianci zrobili desant w Afryce, z Londynu przyjechała z nim do Algieru. Nasz ambasador paradnie wjeżdżał z de Gaullem do Paryża. Poza tym wśród francuskich urzędników dużo jest zachowawców. Od samej góry rachując, nawet pewni przedstawiciele rządu francuskiego (który jest trójdzielny i składa się z katolików, socjalistów i komunistów) ociągając się poszli za decyzją całości rady ministrów, uznającej polski Rząd Jedności. Chcieli na nas, na tych z Londynu trochę poczekać. Ale cóż! Widzą, że nie nadblegamy, że nie się nie zmieniamy, więc nawet oni, choć nasi przyjaciele myślą, że widać z nas już nie będzie nic, albo nieprędko. Zwracają się do „Warszawy!” — Pytam dalej: — „Ale w takim razie jak w ogóle może istnieć ta wasza „ambasada” przy rue de Grenelle? Już nie mówię prawnie, lecz faktycznie — w jaki sposób jej byt jest uzasadniony? Czym ona tu jest? — „Lokalnym przedstawicielstwem upadłościowej masy londyńskiej! Rząd londyński nie upadł tak jak to zwykli czynić normalny rząd, kiedy to na miejsce jednych panów z teczkami przychodzą drudzy. Bo w Londynie upadł nie rząd, lecz zawałała się cała olbrzymia impreza, rozrośnięta w wielki i tyślaciernienny organizm. Organizm ten wyblagał sobie jedno. Żeby czynnościami jego likwidacji zajął się kto inny, nie — „Warszawa”. Anglii przyszło do głowy, że może rzeczywiście delikatniej będzie, jeżeli imprezę naszą ona sama zlikwiduje jako pośrednik. I rzeczywiście teraz jest przywołanej, a przede wszystkim znacznie wolniej. Na szczycie komisji likwidacyjnej znajduje się minister hr. Edward Raczyński, wielki syndyk naszej masy. Dawny rząd polski, ten londyński, jest organem czy przybudówką tej komisji, a p. Morawski przedstawicielem jej na Paryż. Lecz jego położenie staje się coraz trudniejsze. Emigracja robotnicza jest mu przeciwna. Urzędowe koło przy nim zwęża się. Sytuacja jego jest dziwaczna, dla jednych urzędowa, dla innych żadna. Pomiędzy niebem i ziemią. Na księżycu!”

Zresztą znana w historii! Sytuacja różnych pretendentów, banitów, emigrantów politycznych. Żal ich i nie żal. Żyją oni pewną pasją. Swoją sprawą, choćby nieszczęśliwą, ale własną sprawą, przez nich samych spreparowaną. Gdybym w Paryżu wiedział tylko o dostojnikach emigracji, w ogóle bym o niej nie wspominał, bo bym nad nią nie bolał. Ale tam poza dostojnikami są całe ludzkie masy. W ostatnie dni paryskie nieraz wolno wieczór spędzaliśmy po lokalach. W lepszych, w gorszych! Coraz to natykaliśmy się na grupki żołnierzy z na-

pisem „Poland”. Przesyłałiśmy do stolika karczek, że jesteśmy tymi pisarzami, którzy przyjechali z Polski. Niższe szarże, chłopcy wiekiem młodszy podchodzili zaraz do naszego miejsca, starsi, jak się domyślam, politycznie bardziej zaprawieni, przyglądali się nam chłodno. A po chwili przywoływali kelnera, prosili o rachunek dla całej kompanii i dawali sygnał do odejścia. Zostawialiśmy sami. Czasem ktoś z nich brał nasz adres. Odpowiadał nas w hotelu albo przysyłał trochę prasy i tych różnych swoich broszurek i książek. Orientowaliśmy się z ich treści, ile ci ludzie wiedzą o naszym życiu! Wiedzą mnóstwo. Zwłaszcza szczegółów. Wiedzą, gdzie i kiedy został zbieszczeszczony jaki pomnik, wiedzą, ile za co płacimy na czarnym rynku, wiedzą jacy chudzi są ludzie, którzy wracają z Rosji. Tego jednak zdają się nie wiedzieć, że abstynencją swoją nie wpłyną na spadek cen, na ludzkie pohamowanie się w tych czy innych sprawach, ani na to, żeby wychudzony miał z czego żyć. W rozmowie najczęściej bywają łagodni. W pojedynkę nikt nie jest naszym przeciwnikiem. Każdy by wrócił i to już. Ale nie wracają. Ma się wrażenie, że wskutek obrotu historii powstał wir z tak potężną siłą odśrodkową, która przypiera ich gdzieś do jakichś granic. Jedynym wyjściem z tej sytuacji — sądzę — jest czekać. Nie łamać ludzi. Nie forsować. Siła odśrodkowa sfolguje. Pomóc sfolgowaniu można jedynie w ten sposób, żeby wszystkim tym upartym, nonkonformistom wynajdywać honorowe formuły złożenia broni. Żeby powrót ich nie upokorzył.

Ale o ile polityków jest mniej żal niż zwykłych ludzi, ponlewa polityka jest to sztuka kopania dołków przeciwnikom, w które się czasami samemu wpada, więcej jeszcze niż zwykłych ludzi, żal jest ludzi niezwykłych, ludzi przekonania, ludzi głębokiej i fałszywej wiary. Zwykli ludzie w końcu jakoś zmiekną i poddadzą się jakiejś formułce, która im posłuży do powrotu. Nie poddadzą się jej ludzie, którym nie wolno było się mylić! Ci rzeczywiście nieprzeciętni! Co z takimi? Charakter nie da im się cofnąć. Jakiś obraz początkowego widzenia rzeczy, który niosą w oczach, nie przyjmie do wiadomości żadnych zmian. Do pełnej wielkości brak im tej pokory, aby uznać, że historia, zwłaszcza przy gwałtowniejszych poruszeniach (jak te, które przeżyliśmy w ostatnich latach), może się zdarzyć, że ich osobie potraci! Nie znaczy to jednak, by dlatego musiała ona prowadzić na manowce! Pisać to, myśle przede wszystkim o Józefie Czapskim!

Każdy z przedwojennej Warszawy literackiej czy artystycznej wie, że to był człowiek pierwszorzędny. Oddany innym, oddany idei. Wtedy malarstwu. A raczej idei uzachodnienia naszego malarstwa. Kwestarz, kwaterymistrz i minister finansów tzw. ruchu „kapistów”. Równie namiętny w swej nienawiści do Matejki jak w umiłowaniu Cézanne'a, uczeń Pankiewicza, o którym prawie że na klepkach napisał książkę, malarz w ostatnich latach przed wojną nareszcie dojrzał, uznany, pewny swych metod. Chudy, olbrzymiego wzrostu. Jego to karykaturę umieścił „Wiadomości Literackie”, długą, przez całą szpalę, z podpisem: „Ars longa”. A tymczasem okazało się, że nie! Że sztuka u Czapskiego nie trwała długo. Czapski rzucił ją, wziął się do polityki. Dla tych, którzy go znali, wydaje się to nie do wiary. Tak samo jak musi się wydawać nie do wiary fakt, że człowiek ten tak namiętnie i głęboko zrośnięty z ludzkim myśleniem na przyszłość, teraz z całej swej wielkiej siły chce nas zatrzymać!

W 1939 Czapski dostał się do sowieckiej niewoli. Był w Starobielsku. Po układzie polsko-sowieckim z lipca 1940 wychodził z obozu. Zostaje adiutantem Andersa, ten go deleguje do odszukiwania oficerów polskich uwięzionych od września 1939 r., którzy zaginęli. Czapski nigdzie nie natrafia na ślad tych oficerów. Jeździ od miasta do miasta, od biura do biura. Ewakuowani z Moskwy urzędnicy nie mogą mu w niczym pomóc. Panuje nieład, chaos. Nad Rosją klęska! Czapski opuszcza ją jako jej wróg i odtąd poświęca się antysowieckiej propagandzie. Píše „Wspomnienia starobielskie”, wydaje je w kilku obcych językach. Swoją małą książeczkę, gdzie opisuje doleg jeńców i źleje swoich poszukiwań, kończy tak: „W tym krótkim wspomnieniu, nie

wdając się w żadną polemikę, nie wypowiadając żadnych domysłów, starałem się dać jedynie osobiste wspomnienie ze Starobielska oraz sprawozdanie z poszukiwań i wieści, które dotarły o jeńcach ze Starobielska, Kozelska i Ostaszkowa do armii polskiej w okresie jej powstania w ZSRR, oraz o wiadomościach mi staraniach odnalezienia zaginionych”. Opisując zaś ciężkie położenie jeńców powiada: „nasze chude odżywianie obozowe było jeszcze wspaniałe w porównaniu do tego co jadła ludność okoliczna”. Podobnych uwag jest w tekście kilka. Czapski widzi, że Rosjanie chcą jeńcom dać warunki lepsze od przeciwnych. Komentatorzy Czapskiego zacierają tę sprawę. Dla nich książeczka Czapskiego to właśnie potępienie Rosji za jej dążność do zniszczenia jeńców za wszelką cenę. Nawet nie hipoteza, ale jedna z pogłosek, które notuje Czapski, pogłoska katyńska, antyrosyjska, pod piórem sprawozdawców i w ustach prelegentów mówiących o Czapskim urasta później do rozmiarów dowodu o niezbitości siły przekonywującej.

Po wyzwoleniu całej Francji Czapski przenosi się do Paryża. Biura swoje instaluje w Hôtel Lambert, skąd w swoim czasie ks. Adam Czartoryski prowadził politykę antyrosyjską. W nowej polityce tego starego pałacu jest jakieś podobieństwo do dawnej, ale to podobieństwo z krzywego zwierciadła. Bo teraz Hôtel Lambert przenosił swoją uwagę z Rosji na Polskę. Z Hôtelu Lambert wychodzi na Paryż polecenia i poufne informacje o polskich sprawach. Lambert nie jest centralą polityczną, ani wojskową, to raczej jakaś centrala duchowa. Hôtel Lambert jest świątynią i mauzoleum nonkonformizmu. Czapski jego prorokiem i kustoszem. Pisał już o nim (aluzje są tak przejrzyste, że chyba nie ulegam złudzeniu) Adolf Rudnicki. Sens jego pięknego opowiadania „Major Hubert z armii Andersa” w najprostszej interpretacji byłby taki: Hubert poznaje swoją omyłkę, ale nie może wymóc na sobie tego, by opuścić tych, którzy przegrali. Podobno paryski Hubert po przeczytaniu noweli Rudnickiego wyrzekł: „Bardzo piękne, ale zupełnie fałszywe” Może! To wszystko są sprawy różnych zawłości psychologicznych, faktem pozostanie, że Czapski, który wydawał nam się przed wojną przygotowany jak mało kto do tego, by zrozumieć, że niski poziom, na którym kazano mu wraz z towarzyszami żyć w obozie, nie jest miarą nieprawości rosyjskiej, ale przede wszystkim miarą trudu i wyrzeczenia, z jakim ten kraj przygotowywał się do rozprawy, z której wyszedł zwycięsko — że ten Czapski obrał interpretację chyba nazbyt prostą, pewien odtąd, że Rosja jest piekłem i tyle.

Po upadku powstania warszawskiego Czapski napisał list otwarty do Maritaina i Mauriaci. Domaga się w nim od pisarzy Zachodu, żeby zabrali głos w sprawie Warszawy i potępili Rosję Sowiecką. Rosja bowiem doprowadziła do katastrofy. Potem wszystkich „ludzi z Pragi między 16 r. a 60 wywiozła na Sybir”, wrzescie „Rokossowski wyniszczył resztki ludności polskiej”. „Rozumiem — powiada w tym liście Czapski — że w tej chwili jest rzeczą niewygodną odzywać się za Polską i że o wiele łatwiej jest milczeć albo powtarzać szablonowe i fałszywe powiedzonka o tym, że Polska jest krajem „dziedziców” i „reakcjonistów”.

Na ten list odpowiedział Czapskiemu Emanuel Mounier w styczniowym numerze swego „Esprit” (45 r.). „W owym wołaniu — pisze Mounier — mieszają się dwie sprawy, które musimy rozróżnić. Jedna, to sprawa rządu polskiego w Londynie, na który powołują się powstańcy. Nie jest ona z tych najlepszych! Słyszę nieraz protesty przeciw legendzie, że to rząd, który się składa z „reakcjonistów”. Ci, którzy protestują, powołują się na fakt, że rząd ten ma w swoim łonie socjalistów”. „Bardzo różnych się jednak po świecie widuje „socjalistów”. „Mówi się o olbrzymich deportacjach na Syberię — odpowiada dalej Czapskiemu Mounier — nie mamy żadnych możliwości sprawdzenia tych informacji”. „Mówi pan o polskości pewnych terytoriów, te jednak nie mogą być nazywane polskimi bez przesydy. Każe nam pan traktować jako zwykłe kłamstwo propagandowe twierdzenie, że w Polsce istnieje jeszcze stary statut feudalny co do własności ziemskiej...” — „Słyszac te zaprzeczenia...” „nabieramy śmie-

łości. aby podkreślić naszą rezerwę, by nie rzec jeszcze więcej", co do tych informacji. „Ale znów — kończy Mounier — i to jest całkiem inna sprawa... żadna siła na świecie nie zdoła nas przymusić do tego, by rzucić anatemę na dwieście tysięcy nieszczęsnych bohaterów, których samotna wielkość jest tym bardziej jeszcze przejmująca, jeżeli była omyłką”.

Hôtel Lambert, ludzie, których on nastraja, leciutko kluli nas szpileczkami podczas naszego pobytu w Paryżu. Głównie zresztą Iwaszkiewicza. W prasie londyńskiej (polskiej) wskutek wyboru jego osoby na prezesa Związku Literatów posypały się na Iwaszkiewicza ataki, na tego „Quislinga polskiej literatury”. Bronił go jeden Grabowski (autor „Twojej ciszy i ciszy lasu”). Napaści nie ustały. W paryskiej prasie (londyńczyków) przez pierwsze dwa tygodnie widywaliśmy tylko notatki informacyjne. Na zaproszenie różnych organizacji, być może, że luźno nawet związanych z „antyambasadą” na rue de Grenelle, na pewno jednak niczym nie związanych z tą prawdziwą, przybywaliśmy, żeby pogadać i poddać się indagacjom. Zdaje mi się, że podczas tych spotkań ciekawość brała górę nad innymi uczuciami. Rozmawialiśmy z wielką szczerością i bez żadnych przykrych incydentów. Raz jeden tylko pewna przebywająca w Paryżu pisarka, osoba,

o której takcie nigdy bym przed tym nie wątpił, przystąpiła do Iwaszkiewicza z twarzą zimną i zdenerwowanym głosem zaindugowała go czy to prawda, że wygłosił odczyt. A po twierdzącej odpowiedzi Iwaszkiewicza, zapytała: — „Czy dużo pan nakłamał?”

Dopiero na nasze pożegnanie ukazał się w „Sztandarze Polskim” opryskliwy i nieprzyjazny dla nas artykuł „Czwórka na pokaz”! O rzeczywiście świetnej prozie Nałkowskiej (fragment z „Medalionów”, po przetłumaczeniu na francuski dosłownie rozbitych przez różne paryskie pisma literackie) mówił on: — „banalna, uboga, bezbarwna... chemicznie wyprana z walorów literackich”. Po moich „Próbach na nie” stwierdził „po-nure milczenie. Wykazało ono, że jest na szczęście dużo Polaków nie umiejących kapitulować przed każdym”. Po opowiadaniu Rudnickiego (właśnie „Hubercie”) spostrzegł, że ono „pomogło zebranym do zrobienia bilansu”, „po jednej (jego stronie było) pieczeniarnstwo, oportunist, defetyzm, żalosne usychanie kwiatów, dogorywanie pozbawionej soków żywotnych gałęzi, po drugiej stronie — Monte Cassino!” Odczyt Iwaszkiewicza, który opowiadał zebranym o książce, prasie i teatrze u nas, nasunął felietoniście tegoż pisma następującą uwagę: „W ogóle w czasie całej prelekcji płatała się chyba każdemu słucha-

czowi uporczywa myśl, że to wszystko co się w Polsce dzieje obecnie to jest tylko teatr i komedia, w której i p. Iwaszkiewicz gra wariata”.

Takie to sobie żarty! Na pewno nie z wesołości! Długo by można o tym mówić, o tych różnych drobnych, mało znaczących spotkaniach. Różniło nas podczas nich wiele. Wszystko to, o czym tyle razy słyszeliśmy a przede wszystkim to, że myśmy już wybrali, oni jeszcze nie. Bo niewielu jest takich jak Czapski! Inni są pełni wahań. Co dnia inni, raz chłodni i powściągliwi, a drugi raz spłoszeni i niepewni swego. Inna jeszcze rzecz różniąca nas, o której rzadko słyszymy, to różnica kryteriów. My staraliśmy się do nich trafić argumentami politycznymi, oni do nas — pseudomoralnymi. Wtedy mijamy się. Im, mimo z całą pewnością o wiele lżejszego życia, jest gorzej niż nam. Jeden z nich powiedział mi: „Pamięta pan „Ojca zadżumionych”? To my! Nam też wciąż się przedłuża kwarentanę, chociaż tak strasznie chcemy stąd jechać”. A pisarka (o której wspominałem w związku z jej docinkiem zrobionym Iwaszkiewiczowi) na kilka dni przed naszym wyjazdem przyniosła jednemu z nas książkę z dedykacją, kończącą się tak: „I żeby Pan o nas z emigracji nigdy źle nie myślał”.

Tadeusz Breza

TADEUSZ PEIPER

Omyłka!

Już po złożeniu poniższego artykułu w redakcji „Odrodzenia” otrzymałem zeszłego tygodnia z artykułem Stefana Flukowskiego „Dwa teatry jednej rzeczywistości” i dlatego artykuł ten nie jest tutaj uwzględniony.

1

W omówieniu, poświęconym „Dwu teatrom” Szaniawskiego („Twórczość”, 1946, zeszyt 3) twierdzi Wojciech Natanson, że utwór ten jest próbą wyciągnięcia wszelkich konsekwencji z idei integralnego realizmu i że jego tematem jest — wbrew tytułowi — jeden tylko teatr, a nie dwa.

Co tym twierdzeniom przede wszystkim zarzucić należy, to brak siły rodowej. Nie rodzą żadnej myśli, która by ułatwiała nam wnikiwanie w utwór. Nad dwoistością, którą rozstawił autor „Dwu teatrów”, tworzy Natanson wyższą jedność, ale jedność bezpłodną, z której dla stanowiących ją części składowych nie wynika nic godnego uwagi. Wyobraźcie sobie taki wypadek: Iks i Ypsilon przebywają w dwu domach położonych przy ul. Jagiellońskiej, jeden w domu nr 5, drugi w gmachu nr 3, przychodzi ktoś i powiada wam, że Iks i Ypsilon przebywają w jednym budynku, bo dom nr 5 i gmach nr 3 przylegają do siebie ścianami! Dla tego jednoczyciela nie znaczy nic, że do obu budynków wiodą dwie różne bramy, że oba zasadniczo różnią się od siebie przeznaczeniem, architekturą, mieszkańcami i ich życiem, natomiast ważne jest dla niego to, że przylegają do siebie ścianami! Są umysły, które mają niepohamowaną skłonność tworzenia jedności, nawet wtedy kiedy są one bezużyteczne.

Nie rozwiewajmy różnic. Tematem utworu Szaniawskiego są dwa teatry, dwa. Chodzi o dwa teatry życia i dwa teatry sztuki.

2

Literat napisał dramat, w którym inżynier wysadza miasto, aby w jego miejsce mogło powstać nowe, piękniejsze. Inny literat napisał dramat, w którym dzieci w papierowych hełmach i z błaszakami mieczami idą w nierówny bój z wrogiem kraju. Ani czyn inżyniera, ani czyn żołnierzyków nie znajdują uznania u dyrektora realistycznego teatru, jako niezgodne z jego doświadczeniem, w następstwie czego nie chce on grać ani jednego, ani drugiego dramatu. A jednak, gdy nadeszła wojna, okazało się, że to, co poczęła wyobraźnia, było bardziej realne niż poglądy realisty. Wyobraźnia pisarza, a ogólniej: wyobraźnia w ogóle, występuje więc w utworze Szaniawskiego jako organ prawdy, równowartościowo z innymi jej organami. Ta jej równowartościowość potwierdza się w faktach dziejowego znaczenia. Teatr zrodzony ze źródeł wyobraźni potwierdza swą prawdziwość w teatrze dziejów.

Owi młodzi, źle uzbrojeni bojowcy, wzięci oddzielnie, w oderwaniu od ich autora, są wykonawcami nakazów własnej wyobraźni. Podobni do nich młodzieńcy, gdy nadchodzi wojna, walczą przeciwko wrogowi w ruchach oporu, które realistom wydają się nierealne, beznadziejne. Wyobraźnia świeci tu nowym walorem: zdolnością pobudzania do bohaterstwa. Roztaczane przez nią uroki szlachetności działają na życie realne i to w chwilach dla narodu szczególnie ciężkich.

Na odludziu, w głębi lasu, leśniczówka. Matka leśniczego chęłpi się znawstwem ludzi i zdolnością przewidywania ludzkich losów. Ufna w mądrość zdobytą z doświadczenia, oddała z leśniczką kobietę, którą niedługo z zięciem łączyło. Usunąć kogoś sprzed czyichś oczu, nie znaczy jeszcze usunąć go z czyjegoś życia. Usuniętą kobietę ciągle widzi leśniczy przed sobą, widzi ją swą wyobraźnią, a ten dręczący dramat wyobraźniowy zaczyna zmie-

niać jego stosunek do żony, zaczyna wpływać na jego życie realne.

Na poddaszu chałupy, zalanej wznoszącą się wciąż powodzią, chłopska rodzina zagrożona jest śmiercią. Nadpływa łódź ratunkowa, ale nie ma w niej miejsca dla całej rodziny. Chłop, wiedziony instynktem gatunku, umieszcza w niej przede wszystkim dziecko, a gdy udaje mu się zdobyć miejsce także dla siebie i żony, przyjmuje je, nie zważając na konieczność rzucenia starego ojca na pastwę śmierci. Gdy ojciec kurczowo czepia się łodzi, synowskie wiosło spycha mu z niej ręce i popędza łódź ku życiu. Usunąć kogoś od łodzi ratunkowej to jeszcze nie znaczy uratować samego siebie całkowicie. Nadchodzą wieczory, w których trzeźwo myślący syn słyszy wołanie ojca i widzi jego odrzucone ręce. Chłopski realista, który w najgroźniejszych chwilach powodzi omawiał z żoną sprawy fajerkasy i długów, on, który to co miał dać śmierci wybierał zgodnie z utylitarystycznym realnym życia, zapada co wieczór w drugi teatr życia, w świat głosów i widzeń wewnętrznych, gdzie odważają się winy i kary.

Dyrektor teatru realistycznego dostaje się w sytuację, w której przeżywa wstrząsającą siłę tego drugiego teatru, teatru wyobraźniowego. Nie tylko stwierdzić musi ziszczenie się widzeń wyobraźniowych, które potępiał w odrzucanych przez siebie dramatach, nie tylko własną wyobraźnią widzi dalsze ciągi dramatów, które wystawiał, nie tylko widzi, że te dalsze ciągi, bolesne i dręczące, odbywają się w wyobraźniach, ale w strefie przeżyć najbardziej osobistych staje wobec przytłaczającego aktu własnej wyobraźni, gdy stawia ona przed nim kochaną kobietę, zmarłą pod gruzami zawałonego domu.

To, co w tych sześciu wypadkach odbywa się w świecie wyobraźniowym, nazywa Natanson „marginesami spraw życiowych, gdzie rodzą się zastrzeżenia, glossy, boczne uwagi”. Bolesne dramaty, jakie przeżywa w sobie leśniczy tęskniący za oderwaną od niego kobietą, chłop widzący i słyszący odrzuconego ojca, dyrektor zlamany zapadnięciem się całej jego filozofii życiowej, to miałyby być tylko marginesy z zastrzeżeniami, glossami, bocznymi uwagami? Przecie to tak jak gdyby ktoś nieuleczalną chorobę, codziennie odzywającą się rozzdzierającymi bólami, nazwał marginesem zdrowia! A wizje, z jakimi żył inżynier, który wysadził miasto, i wizje, jakimi żył młodzi bohaterowie nierównych bojów, te wizje, o których Natanson mówi, że „zrealizowały się aż nadto dokładnie na okrwawionej scenie naszego kraju”, czyż można je zaliczyć do marginesów, zastrzeżeń, bocznych uwag? Nie pojmuję!

Nie. Bez docenienia odrębnej ważności świata wyobraźniowego, bez ujrzenia w nim drugiego teatru życia, bujnego i wpływowego, nie można wnikać w utwór Szaniawskiego. Jego najbardziej istotne składniki rozwijają myśl, że wyobraźnia spełnia kilka funkcji wysokiej doniosłości: 1. jest odrębnym organem prawdy, 2. jest odrębnym czynnikiem bohaterstwa, 3. jest groźnym sąsiadem świata zewnętrznego, biorąc w siebie dalsze ciągi jego spraw.

3

O każdym szczególe utworu mówi utwór wszystkim. O każdej sprawie „Dwu teatrów” mówi Szaniawski wszystkim, co jego utwór zawiera.

Dotyczy to także składnika narodowego. „Dwa teatry” zawierają go, zawierają w postaci aluzji. Wyraża jest aluzja do września 1939, wyraźnie są aluzje do bojów partyzanckich i powstańców, wyraźna jest aluzja do zniszczenia Warszawy. Ale spraw narodowych dotyka także — choć w aluzjach mniej wy-

rażnych — sprawa ukazana w obliczu powodzi grożącej zagładą, także sprawa leśniczego, która w rozszerzonym znaczeniu reprezentuje rozrywanie również ideowych związków niebezpiecznych, także sprawa realizmu dyrektora teatru, a nawet... nawet sprawa snów gospodni tegoż dyrektora. I może naczelnie idee utworu istnieją właśnie po to, aby wyrazić pogląd autora na polskich ludzi lat wojny.

Całością swego utworu coś nam o nich mówi Szaniawski?

I tutaj widzi dwa teatry życia, dwa światy; jeden to świat realistów, ludzi opanowanych instynktem samozachowania i nakazem zachowania narodu, ludzi godzących się na śmierć tych wszystkich, których uważają za niepotrzebnych przyszłemu życiu, ludzi usuwających sprzed oczu drogiej istot niebezpieczne pokusy dziejowej chwili; drugi to świat ludzi wyobraźni, widzących z góry możliwość zniszczeń nie przewidywanych przez innych i przyjmujących te zniszczenia jako drogę do lepszej przyszłości, świat ludzi nie lękających się nierównego boju, świat ludzi nie lękających się śmierci. Samo przez się różniczenie to nie ma w sobie nic szczególnego, nabiera ono znaczenia dopiero przez komplikację, jakie z istnienia dwu światów wynikają dla świata realistów i realizmu. Szaniawski stara się przekonać nas, że ludzie tego to świata zapadali w wewnętrzne niepokoje, że nawiedzani byli wyrzutami sumienia, ludzie zaś świata tamtego zażywali wewnętrznego spokoju i doczekiwali się uznania realistów, które dokonywało się co najmniej w ich ukrywanych tęsknotach. W realistycznym dyrektorem teatru poznajemy człowieka, który pod twarzą przeznaczoną dla świata rzeczywistości ukrywa twarz drugą, twarz ze świata tęsknot, człowieka, który pod swym realizmem politycznym ma w swych marzeniach nierealistyczny stosunek do działań śmiałych, bohaterów. Takim widzi Szaniawski polskich ludzi lat wojennych.

Z zastrzeżeniem, z ważnym zastrzeżeniem: że są ludzie, którzy swe marzenia przedstawiają kłamliwie. Oto gospodni dyrektora teatru. No początku utworu widzimy ją jako człowieka, któremu noce przynoszą widziadła sennie mieniające się zachwycającą barwnością ludzi i kwiatów, pod koniec zaś utworu zmuszeni jesteśmy wątpić o jej prawdomówności, zmuszeni jesteśmy pod jej marzenia o barwnych ludziach i kwiatkach podstawić marzenia o pomidorach i kupecyku ze sklepu. Sny gospodni dyrektora, uogólnione, reprezentują piękne słowa, pod którymi czai się fałsz, reprezentują piękne hasła, pod którymi działa gzeszefciarstwo.

Pogląd Szaniawskiego na Polaków minionej wojny, pogląd zatroskany o pełnię i sprawiedliwość obrazu, nasuwa jednak kwestię, od której rozwiązanie, jakiegokolwiek by ono było, zależy w wysokim stopniu charakter owego poglądu. Nie można tej kwestii postawić przed zarysowaniem drugiej pary teatrów objętych utworem, owej pary artystycznej. Po dwu teatrach życia trzeba przyjrzyć się dwu teatrom sztuki.

4

Małe Zwierciadło to teatr realistyczny, usiłujący jak najwierniej odbijać życie zwane rzeczywistym. A Teatr Snów ma za zadanie — co?

Natanson, biorąc zbyt dosłownie nazwę Teatru Snów, ogranicza go tylko do widziadeł sennych, a przecie w tej nazwie-firmie sen ma znaczenie rozleglejsze i mieści w sobie obok widziadeł sennych także widzenia na jawie, mieści w sobie to wszystko, co nam ukazuje wyobraźnia także w jawny dzień, gdy dręczą nas wspomnienia lub marzenia, mieści w sobie także owych intruzów wy-

obraźni, którzy podczas głębszych naszych przeżyć narzucają się naszym widzeniu wewnętrznemu o każdej porze dnia z natręctwem odpowiadającym naturze i sile przeżywanym przez nas afektów. Sen występuje w nazwie Teatru Snów w znaczeniu, którego niektóre składniki zawarte są w takim powiedzeniu, jak sen o szczęściu, i w takich tytułach literackich jak sen o szpadzie, sny o potędze. Przy ograniczeniu, jakim Natanson zacieśnia zakres Teatru Snów, nie mógłby ten teatr zajmować się dramatami, o które Szaniawskiemu chodzi najbardziej, bo przecie leśniczy widzi na jawie nieobecną kobietę, którą niedługo kochał, chłop widzi na jawie ręce odrzuconego ojca, autor dramatu o inżynierze i sam inżynier widzi na jawie miasto piękniejsze od wysadzonego, autor dramatu o źle uzbrojonych żołnierzach i jego bohaterowie widzą na jawie obrazy nierównych, a owocnych bojów*). Przy ograniczeniu, jakim Natanson zacieśnia zakres Teatru Snów, straciłby głębszy sens lokal tego teatru, sutereny, w których jest coś z Polski podziemnej lat wojennych, a wszelki sens straciłoby oświadczenie dyrektora Teatru Snów, że jego teatr jeszcze przed katastrofą miasta mieścił się tu w podziemiach i że już wtedy grał tu jego utwory.

A dramat wyobraźniowy dyrektora Małego Zwierciadła odbywa się na jawie czy we śnie? Szaniawski unikał grubych rozgraniczeń, zarysował sprawę cienkimi, ledwie dostrzegalnymi kreskami, tak że można przyjąć jedno i drugie. Za przyjęciem snu przemawia wy-czuwalne u Szaniawskiego skrepowanie formami teatralnymi, w jakie dotąd przelewano zdarzenia wyobraźniowe, za przyjęciem jawy — całość utworu, a z niej szczególnie idee naczelnie. Twierdzenie Natansona jakoby utwór kończył się przebudzeniem nie odpowiada rzeczywistości „jeśli mnie pamięć nie myli. Zdaje mi się, że utwór nieczym nie zaznacza zapadania w sen i budzenia się ze snu. Nawet lekarz, badający serce słuchawką nie-realistyczną i w oddaleniu od chorego, może być w danym wypadku równie dobrze postacią widziadła sennego jak i postacią widzenia na jawie. Skoro zaś ta część „Dwu teatrów” dopuszcza dwie interpretacje, ja wybieram jawę jako zgodniejszą z całością utworu, bo pozwalającą umieścić dramat wyobraźniowy dyrektora w tym samym szeregu co odbywające się na jawie dramaty leśniczego, chłopca, inżyniera i żołnierzów. Wybieram jawę jeszcze dlatego, że jest to dla utworu korzystniejsze, bo nadaje więcej wagi i dramatyczności przeżyciom, o które tu chodzi.

Dramat wyobraźniowy dyrektora jakie ma konsekwencje i czy je w ogóle ma? Czy napór świata wyobraźniowego wprowadza w jego życie realne jaką zmianę zasadniczą, czy nie? Tu znowu posługuje się Szaniawski cienkimi kreskami. Dyrektor Małego Zwierciadła w wyobraźniowej rozmowie z dyrektorem Teatru Snów nie przechodzi wyraźnie na jego stronę, ale dyrektor Teatru Snów ogłasza swoje zwycięstwo nad nim. Czy to zwycięstwo dotyczy tylko terenu wyobraźniowego, terenu marzeń, tęsknot i na tym to terenie dyrektor Małego Zwierciadła ulega swemu antagoniście, czy ulega mu także na terenie życia realnego? To jest napowazniejsze pytanie, jakie nasuwają „Dwa teatry”.

Z tym pytaniem przenieśmy się w pogląd Szaniawskiego na polskich ludzi lat wojennych. Czy autorowi „Dwu teatrów” chodziło tylko o to, aby w polskich realistach ukazać świat drugi, niewidoczny a lepszy, i skłonić nas do uwzględnienia tego w ocenie tych ludzi, czy też prócz tego zaznacza on jeszcze oddziaływanie owego lepszego wewnętrznego świata na świat zewnętrzny? Albo ogólniej: Czy dwa światy, jakie ujrzał w Polsce i Polakach, widzi jako istniejące obok siebie bez aktywnego wpływu świata marzeń, czy też według niego świat marzeń wpływa zasadniczo na świat realnej rzeczywistości? Z poprzedniej cieniokości kresek wynika ich cieniokość i dla tej sprawy. Można przyjąć jedno, można przyjąć drugie. Ja drugie wybieram. Przypisuję Szaniawskiemu pogląd, że podnie-ty wyobraźni, jako czynniki prawdy, twórczości, moralności i bohaterstwa mają moc przemieniania życia realnego. Aktem tej mocy miałyby być śmierć realisty takiego typu, jakim jest dyrektor Małego Zwierciadła. Przyjmując, że umiera on nie w śnie o własnej śmierci, lecz że rzeczywiście umiera. Natanson nazywa to omyłką.

Dyrektor-realista, uznający tylko to, co zna z dotychczasowego doświadczenia, powinien swą śmiercią umożliwić zwycięskie wejście na scenę słowności innego świata. Ja uzupełniam sobie finał „Dwu teatrów” wkroczeniem pisarza, który wymarzył inżyniera wysadzającego miasto, aby w jego miejsce mogło powstać nowe, piękniejsze. Tak go uzupełniwszy, snuję sprawę dalej już samowolnie. Widzę tego pisarza, jak zapowiada działania, które nie będą ograniczały się tylko do piękna budynków, ulic, placów, lecz tworzyć będą miasto piękne w pełni, miasto, w którym z uszlachetnionego układu stosunków międzyludzkich i z nowatorskiej śmiałości twórczych umysłów rodzić się będzie coraz doskonalszy człowiek i coraz doskonalsze życie.

Tadeusz Peiper

*) Nie uwzględniam tu faktu, że owe dramaty wyobraźniowe poznajemy nie bezpośrednio, lecz poprzez wyobraźnię dyrektora Małego Zwierciadła, nie uwzględniam tego faktu, aby nie nuciły czytelnika komplikowaniem wywodu.

STEFAN PAPÉE

Szlachetny inspirator



Bernard Chrzanowski

Czasopismo poświęcone polskiej kulturze marynistycznej, „Wiatr od Morza”, rozpoczęło swą pożyteczną pracę od złożenia hołdu Stefanowi Żeromskiemu w obszernym artykule redaktora Janusza Stępowskiego.

Jest w nim również mowa o Bernardzie Chrzanowskim, „jednym z pierwszych odkrywców piękna w przymorskim krajobrazie”, „pierwszym przewodniku Żeromskiego w nadmorskich stronach”, w którym Żeromski znalazł „najlepszego powiernika własnych tęsknot”.

Działalność Bernarda Chrzanowskiego nie ograniczała się jednak w stosunku do Stefana Żeromskiego do roli odkrywcy wybrzeża, przewodnika i powiernika pisarza. Był on przede wszystkim inspiratorem o niezwykłej skromności, subtelności i godnym podziwu uporze.

Książeczką „Na kaszubskim brzegu”, wydaną w 1910 r., wiódł Chrzanowski nad morze głównie polską młodzież, ucząc ją urody wybrzeża i uczuć braterskich dla Kaszubów. Przewodnikiem i rozpowszechnianymi artystycznymi zdjęciami, drukowanymi w formie 16 kart pocztowych, chciał jednak równocześnie wzbudzić zainteresowanie polskiej nauki i sztuki dla wybrzeża, o czym informuje dyskretnie zbiorek szkiców Chrzanowskiego „Z wybrzeża i o wybrzeżu”, wydany w 1917 r.

Uzupełniłem te szczegóły w osobnych pracach pt. „Bernard Chrzanowski” (Poznań, 1928) i „Bernard Chrzanowski jako wychowawca młodzieży” (Poznań, 1928), przytaczając między innymi kilka listów Żeromskiego do autora „Na kaszubskim brzegu”, rzucających ciekawe światło na genezę „Wiatru od morza”.

Chrzanowski — po przeczytaniu „Urody życia”, a w niej o tym, jak Piotr Rożucki, uratowany przez załogę statku, wpatrywał się „w żółte, lśniące na słońcu wybrzeża” — posłał Żeromskiemu przewodnik „Na kaszubskim brzegu” z dedykacją „Dla Piotra Rożuckiego”. Ujęło to serdecznie Żeromskiego i odtąd zaczęła się znajomość, korespondencja, wspólne zwiedzanie wybrzeża, przysyłanie literatury kaszubskiej „najpłomienniejszemu z serc” i wdzięczne potem przyjmowanie „królewskich darów” wielkiego pisarza. „To — mówił ongiś do mnie Chrzanowski — że w drobnej części przyczynić się mogłem do zadziergnięcia gorącej przyjaźni między Żeromskim a wybrzeżem, poczytuję sobie za największą nagrodę za moją troskę o polskie morze”.

Z Żeromskim się powiodło. Mógł na koniec Chrzanowski przekreślić z rozdziału „Brzeg w sztuce i w poezji” żalem nabrzmiałe zdanie: „Nie ma nikogo między naszymi wielkimi, który by nam zaklął w cudną naszą mowę urodę wybrzeża”.

Poprzednie inspiracje z Tadeuszem Micińskim, Henrykiem Sienkiewiczem i Marią Konopnicką dały nikłe rezultaty. Miciński napisał wiersz poświęcony alei w Rzućwie; Konopnicka nie zdążyła wywiązać się z poczynionych obietnic, choć „często myślą wracała nad to morze”; Sienkiewicz w przegładzie wojsk, zebranych na wyprawę wiedeńską wspominał z uznaniem o regimencie kaszubskim, ale czynny wojenne Kaszubów pod Wiedniem miał dokładniej opisać dopiero w dalszych, już tylko planowanych, rozdziałach „Na polu chwały”. Chrzanowski podsyłał te budzące się zainteresowania pisarzy listami, książkami, fotografiami, Konopnicką zjednywał nawet przesyłką „zasuszonych kwiatów polnych”.

Dopiero po „Wietrze od morza” Żeromskiego temat pomorski i morski stał się modny w literaturze polskiej i Chrzanowski radował się odtąd powieściami Stefana Balickiego, Je-

zego Bandrowskiego, Stefana Grabińskiego, Edwarda Ligockiego; poezjami Artura Marii Swinarskiego i tylu innych, przytoczonych potem w antologii Władysława Pniewskiego pt. „Morze polskie i Pomorze” (1931), oraz wznowieniami i rozwojem literatury gwarowej, z utworami Hieronima Derdowskiego, Aleksandra Majkowskiego i Wosia Budzysza na czele.

Ponieważ wybrzeże i morze „chwyciło” w literaturze pięknej, inspirator zajął się z kolei innymi, zaniedbanymi nadal, działami sztuki.

Śledziłem np. dzieje piosenki „Oj, żeglarze żeglajcie...” Ogłosił ją Chrzanowski w przewodniku z nutami w 1910 r. jako „jedyną znaną mi piosenkę rybacką znad morza, jedyną piosenkę żeglarza z okolic Pucka”. Dla tej wdzięcznej piosenki zdołał, po kilkunastu latach zabiegów, zdobyć zainteresowanie poznańskich muzykologów i nie posiadał się z radości, gdy Henryk Opieński wcielił ją do stałych programów swego chóru i gdy Feliks Nowowiejski wpłócił tę pieśń do „Legendy Bałtyku”, z librettem Szalay—Groele (1924).

Podobnie usilne były starania Chrzanowskiego o zainteresowanie wybrzeżem polskich malarzy, dziennikarzy i ludzi nauki.

Generał-gubernator niemiecki w Warszawie zabronił w 1917 r. rozpowszechniania zbioru Chrzanowskiego „Z wybrzeża i o wybrzeżu”, jako zagrażającego całości cesarstwa. Chrzanowski, jako długoletni poseł miasta Poznania do parlamentu niemieckiego, doskonale zdawał sobie sprawę, czym znów naraził się zwalczanemu od lat rządowi. Tak, on rzeczy-

wiście całą swą działalnością i jako adwokat i jako poseł i jako oświatowiec i jako organizator życia młodzieży pod pruskim zaborem, wreszcie jako „Chałubiński polskiego wybrzeża”, bo tak go nazywano, zmierzał niezmordowanie do tego, aby mógł na koniec w pierwszym numerze „Strażnicy Zachodniej” napisać: „Dostęp do morza mamy własny. Nie jesteśmy jak gospodarz, któremu sąsiad może każdej chwili zagrozić dojazd do drogi publicznej, nie jesteśmy jak mieszkaniec świetlicy, której okno zły sąsiad zasłonić może, zabrać światło i izbę przemienić w ciemną komorę”.

Nie mogę odżałować, że Chrzanowski nie doczekał się tej chwili, gdy nasz dostęp do morza wzrósł nagle tak potężnie i z państwa, które miało zaledwie „okno” na morze, staliśmy się państwem morskim.

Niemcy w grudniu 1939 r. wysiedlili Chrzanowskiego do Warszawy. Tam, przybity świeżą klęską narodową, w niedostatku, z dala od drogiego Poznania, od umiłowanej, starannie dobranej biblioteki, spędził pięć lat, pisząc gorączkowo pamiętnik z osiemdziesięciu lat wiernej służby Polsce. Świeża tragedia Warszawy dopełniła czarę gorzkości. 12 grudnia 1944 r. umarł Chrzanowski w Konstancinie, w czasie pobytu u córki.

Do licznych zasług politycznych i społecznych b. posła miasta Poznania i pierwszego kuratora poznańskiego okręgu szkolnego zaliczona być musi i ta niemała, że był entuzjastą-inspiratorem miłości do polskiego morza i wybrzeża, inspiratorem z najszlachetniejszego gatunku.

Stefan Papée

WACŁAW KUBACKI

Igraszki wydawnicze

Bardzo byłem ciekaw popularnego wydania „Pana Tadeusza”, podjętego przez „Książkę”. Niestety spóźniłem się z kupnem. Dostałem już tylko drugie wydanie, przejrane i przygotowane do druku przez prof. Juliusza Saloniego. Przedmowa powiada, że wydanie drugie jest poprawionym przedrukiem wydania pierwszego. Coś jakby wydanie rehabilitacyjne. Przy tej sposobności dowiadujemy się, jak wyglądało wydanie pierwsze.

Oto na czym polegały poprawki:

1) Złożono ponownie około 50 stron celem usunięcia omyłek drukarskich. (Jest to piąta część tekstu „Pana Tadeusza”, co daje niezłe wyobrażenie o stopniu niefrasobliwości redaktorów pierwszego wydania).

2) Dodano „Objaśnienia poety”, których brak było w wydaniu pierwszym. (Jak widać, twórcy pierwszego wydania nie bardzo zdawali sobie sprawę, jakie są zadania edytora).

3) Przeprowadzono rewizję jakościową objaśnień wydawcy. (Śliczny eufemizm: „rewizja jakościowa”!).

Bardzo zabawnie wypadła próba usprawiedliwienia niefortunnego popisu wydawniczego. Słyszymy, że błędy i usterki dostały się do książki „zarówno skutkiem braku odpowiednich wydań i tekstów dzieła, jak i pośpiechu w pracy”. Zauważmy, iż ani słówkiem nie wspomniano o niefachowości redaktorów. Pomijam całkiem niepoważne tłumaczenie się pośpiechem w pracy, skoro z ważniejszymi sprawami kulturalnymi nikt się dzisiaj nie spieszy. Na czoło wysunęto bardzo modne obecnie i wygodne nadzwyczaj usprawiedliwianie się ogólnokulturalne: znieszczenie zbiorów bibliotecznych.

Wydawca nazywa to szumnie „brakiem odpowiednich wydań i tekstów dzieła”, licząc widocznie na naiwność czytelników. Po co wydawnictwu popularnemu podane w liczbie mnogiej „wydania i teksty dzieła”? Szkoda, że nie wspomniano jeszcze o pierwodruku, autografach i wariantach! Jak wiadomo, tekst „Pana Tadeusza” został krytycznie ustalony w wydaniu sejmowym przez Wilhelma Bruchnalskiego. Do przedruku popularnego wystarczyłoby to jedno wydanie, więc po co pseudofilologicznie mydlić ludziom oczy wzmianką o „wydaniach i tekstach dzieła”? Jeśli jest coś do poprawienia w sejmowym tekście „Pana Tadeusza”, to przekracza to kompetencje naukowe redaktorów „Książki”. Żadne wydania i teksty nic tu nie pomogą, bo z wydań i tekstów trzeba umieć korzystać, a zresztą nawet najbardziej „odpowiednie wydania” nie zastąpią nieodpowiedniego wydawcy i korektora. Nawiasem mówiąc, ani wydanie sejmowe „Pana Tadeusza”, ani wydanie „Biblioteki Narodowej” nie należą jeszcze do białych kraków, więc nie wypada zasłaniać się brakiem „odpowiednich wydań i tekstów dzieła”.

Trudno się domyśleć, po kiego licha anoni-

mowi dyletanci silili się na własne objaśnienia, które potem trzeba było poddawać „rewizji jakościowej”, po wymienionych wydaniach, skomentowanych przez prof. Pigonia, który żeby zjadł na Mickiewicu. Zauważmy ubocznie, że edycja poprawiona także nie podaje, na jakim wydaniu się oparła. Zbadanie poprawności tekstu, jak i dyskusja nad modernizacją Mickiewiczowskiej pisowni i przestankowania nadaje się raczej do pisma fachowego. Tutaj pragnę się zająć objaśnieniami. Powtarzam, iż nie znam przypisów do wydania pierwszego. Czytałem tylko objaśnienia, przydane do wydania poprawionego i przejrzanego i mam co do nich pewne zastrzeżenia.

Przypisy te, jak na wydanie popularne, są zbyt skąpe, bardzo nierówne, przeważnie ogólnikowe, schematyczne. Słowny „bursztynowy świerzop” to według wydawcy „chwast rosnący w zbożu o kwiatach koloru bursztynu”. Dlaczego nie powtórzy objaśnienia tradycyjnego, konkretnego: ognica, dziki rzepak? Rosomak to „zwierzę drapieżne podobne do łasicy”. Niewiele to powie mieszczuchowi lub chłopu polskiemu. Chyba lepiej przypomnieć, że rosomak jest zwierzęciem z rodziny kun, dochodzącym wielkości psa. Zoologia nazywa rosomaka „guło borealis” czyli żarłokiem północnym — warto przy tej sposobności zwrócić uwagę na mickiewiczowski epitet „żarłoczny rosomak”. Wielkość drapieżcy, wymienionego przez poetę obok rysia, jest ważnym szczegółem komentatorskim. „Półgęski” nazywa wydawca „potrawą z gęsi wędzonej”. Trochę to wygląda tak, jakby ktoś szynkę określił jako „potrawę ze świni wędzonej”. „Omyk” ma znaczyć „krótki ogonek”, choć jest to podobno wyraz myśliwski i oznacza „ogon zajęczy”. Comber to „sztuka mięsa wzdłuż stosu pacierzowego”. Stos pacierzowy dochodzi do kręgów szyjnych, a mimo to comberem będzie tylko płat mięsa pochodzący z tylnej części zwierzyny, a więc tzw. część pieczeniową, poledwicową.

Znacznie gorzej przedstawiają się objaśnienia z dziedziny życia i kultury staropolskiej. Kto z niewtajemniczonych domyślił się z objaśnienia „tarałka — kapota polska z „potrzebami” (naszywkami), że „potrzebami” nazywały się taśmy, sznury i pętle, które służyły do zapinania bekiesz, kontuszów lub kierzzi. „Naszywki” mają dziś inne znaczenie. „Pastka” w znaczeniu pułapka lub samotrząsk ma być według wydawcy wyrazem białoruskim, tymczasem jest to wyraz staropolski. Z wiersza o Bartku Prusaku, co „często na strugach do Królewca chadzał” — czytał wydawca wyraz „struga” i wyjaśnia, że jest to „mały statek używany do żeglugi po Niemnie”. Przede wszystkim, skąd wydawca wie, że Mickiewicz użył w tym miejscu rodzaju żeńskiego „struga”? W staropolszczyźnie częściej występuje „strug” jako barka czy galar (podobnie w języku rosyjskim). Słownik Lindego nie zna formy żeńskiej „struga” w znaczeniu statku. Objasnienie wydawcy su-

geruje geograficzne rozmieszczenie tego słowa. Tymczasem w dawnej Polsce „strugi” jeździły nie tylko po Niemnie.

Na próżno się Sopicowo wysadziło w księdze XII na wielkopańską ucztę. Wysoka sztuka kulinarna Wojskiego nie znalazła odpowiedniego komentatora w omawianym wydawnictwie. Przewidział to doskonale Mickiewicz pisząc:

Kto zrozumie nieznane już za naszych czasów
Te półmiski kontuszów, arkasów, blemasów,
Z ingrediencyjami pomuchl, figatelów,
Cybetów, pizm, dragantów, pinelów, brunellów.

Z formy „kontuszów” widać, że Mickiewicz używa rodzaju męskiego „kontuz”, znanego słownikom staropolskim. Tymczasem wydawca w objaśnieniu podaje wyłącznie oboczną formę żeńską „kontuza”, co nie tłumaczy mickiewiczowskiego dopełniacza liczby mnogiej „kontuszów”. (Podobną niewłaściwość znajdujemy także w komentarzu wydania sejmowego). Wyraz ten tłumaczy wydawca jako „galarete z kurczęcia”. Dodajmy, że dotychczas wyjaśniano „kontuz” jako pewien rodzaj wędliny lub bulion z cielęciny lub kurczęcia (wydanie sejmowe). Linde mówi o salcesonie, mortadeli, soku z mięsa w moździerzu tłuczonego lub o esencjonalnym bulionie.

Wydawca wyraźnie się zniecierpliwił sekretami kuchni staropolskiej i postanowił z resztą załatwić się ryczałtem: „Ingrediencja — czytamy — zaprawa dodawana do potraw mięsnych. Należą tu do ingr. pomuchle, figatele, cybety itd.” Powstało w ten sposób nowe menu, nie przewidziane przez Wojskiego, a znane tylko z pewnego przysłówia polskiego, które o podobnych zestawieniach powiada krótko, a dobitnie: ryż, mysz i sztokfisz. Gdyby wydawca pożyczył sobie od Wojskiego dzieło Stanisława Czernieckiego pt.: „Kucharz doskonały”, to nie zaliczałby do ingrediencji czyli zapraw mięsnych tak pochopnie i gremialnie: pomuchl, figatelów, cybetów i dragantów, bo pomuchle to ryby z rodziny mięsowatych, draganty to cukrowe dekoracje stołu, modne za czasów saskich, a figatele to „nadziewki” (według wyd. sejmowego) lub pulpety z cielęciny, kapłona, mięsa wołowego, wieprzowego i łoju (według Lindego).

Pomuchel lub pomuchla w Prusach książeczek i królewskich oznaczała dorsza (ewentualnie sztokfisa). Zna pomuchla-dorsza „Słownik gwar polskich” Karłowicza. Jeszcze dzisiaj na Pomorzu spotyka się ten wyraz. Komentator źle rozumie przytoczony ustęp „Pana Tadeusza”. Pomuchle i figatele nie są ingrediencyjami czyli przyprawami, lecz współrzednymi daniami, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, zakąskami, przystawkami lub wytworniej hors d'oeuvre'ami. Szyk słów w wierszu: (półmiski) „Z ingrediencyjami pomuchl, figatelów” jest przestawny ze względu na średniówkę i należy go rozumieć jako (półmiski) „pomuchl z ingrediencyjami, figatelów”. A więc mowa jest o dorszach lub w ogóle o rybach z przyprawami. Gdyby pomuchle, figatele i cybety miały być „zaprawami do potraw mięsnych”, to nie sąsiadowałyby z leguminami i deserami — arkasami i blemasami. Mickiewicz zresztą tych mięsnych potraw zasadniczych nie wymienia, jakby już wówczas obowiązywały ograniczenia w spożywaniu mięsa i jakby przyjęcie dla wojsk napoleońskich wypadło akurat w któryś z dni bezmięsnych! Kto zresztą słyszał, żeby np. do kołdunów dodawano smaku z mięsa lub żeby pieczeń sarnią zaprawiano dorszem wędzonym, albo prosie w galarecie esami-floresami z lukru. Takie cuda kulinarne mogą się dziać tylko w komentarzach do klasyków literatury.

Uczta pod hasłem „kochajmy się”, jak wiele innych szczegółów w „Panu Tadeuszu”, ma charakter baśniowy. Zapewne dlatego poeta wspomniawszy barszcz, rosół i „inne potrawy” uraczył swych gości przede wszystkim piankami, kremami, słodkimi galaretkami, wonnościami cybetów i pizm, egzotyką arkasów i blemasów, pinelów i brunellów. Brakowało tam tylko ptasiego mleka. Symbolem tego cudowny arcyserwis, czary kuchenne Wojskiego i przesterwetów. Ostatnia uczta staropolska zamieniła się w jeden wielki obiad deser, wzięty jakby ze snu dziecięcego.

Wróćmy jednak do prozy, do komentarzy. Zapewne nie jeden z czytelników będzie ciekaw, czemu to damę atutową w miaszu nazywano dawniej męską nazwą „pamfil”. Może nie byłoby zbyteczne wyjaśnić, że dzisiejsza „dama” nazywała się w staropolskich grach karcianych „wyznikiem”. Mariaszem była para: król i wyznik. Stąd męski „pamfil” na oznaczenie wyznika (damy) atutowego. Natomiast pochodzenie samej nazwy „pamfil” nie jest jasne; są różne przypuszczenia, którymi nie podobna zajmować niefachowców. W jednym ze swych komentarzy do ks. VI podał Mickiewicz jako synonim wyjaśniający do słów przydomki-imioniska wyraz pochodzenia francuskiego „sobrykety”. Wydawca daje objaśnienie do mickiewiczowskiego objaśnienia: „Sobrykety — przezwiska złośliwe, przydomki szydercze”, a potem zaznacza, że jest to sprzeczne z tekstem „Pana Tadeusza”, gdzie imioniska nie mają złośliwego charakteru. Wydawca bezkrytycznie powtarza w tym wypadku błąd poprzednich komentatorów. Podobnie objaśniono „sobrykety” w wydaniu sejmowym jako „przezwicka złośliwe szydercze”, nie omieszkałszy dodać: „zestawienie

nie całkiem trafne, bo w „imioniskach“ nie było odniednia szyderczego“ (t. IV, str. 584).

Trzeba wziąć Mickiewicza w obronę, który użył tego wyrazu zupełnie trafnie i prawidłowo. Sprzeczności nie zawinił poeta — „Nie zmylił się mistrz taki!“ Stwarzają ją sztucznie komentatorzy, tłumacząc niewłaściwie sobriquet jako przydomek złośliwy, podczas gdy słowo to może mieć znaczenie zarówno negatywne jak pozytywne, złośliwe i niewinne. „Larousse du XX siècle“ przytacza z Woltera następujący przykład na przydomek — sobriquet: „Le titre „Juste“ fut la définition d'Aristide et le sobriquet de Louis XIII“ (t. VI, str. 383). W znaczeniu dodatnim, a nawet pieszczotliwym, spotkałem to słowo w wydaniu przez Kraushara pamiętniku Bajkowa, a więc u człowieka z epoki mickiewiczowskiej. Bajkow notując swe postępy miłosne u panny Zofii Chłopickiej pisze pewnego dnia, że już doszedł do nadania przydomków jej lewej piersi: „J'ai déjà donné des sobriquets à son sein gauche.“ (Bajkow, „Z kartek pamiętnika rękopiśmiennego 1824—1829“). Przez Alkara. Wyd. 2. Kraków 1913, str. 165). Jasne chyba, że ciało dziewczyny w czasie pieszczot miłosnych nikt nie daje „przezwisek szyderczych“.

Do melancholijnych wniosków dochodzi się, kiedy się myśli o pierwszym popularnym wy-

daniu „Pana Tadeusza“. Tak się dziwnie składa, że w czasie, kiedy „Książka“ śpieszy się — dosłownie po trupie Mickiewicza — ze swym pierwszym wydaniem, żyje w Polsce kilku wytrawnych wydawców dzieł Mickiewicza, że wymienić tylko Stanisława Pigonia, Wacława Borowego i Leona Płoszewskiego. Sporo też polonistów zajmuje się specjalnie Mickiewiczem. Jak tedy wytłumaczyć sobie te igraszki wydawnicze w dobie, kiedy wszystko się dzieje pod hasłem planowania, ekonomii i celowości wysiłków, fachowości i naukowej organizacji pracy, a zwłaszcza kiedy tyle się pisze na temat „unaukowania humanistyki“? Dlaczego taka historia przytrafia się właśnie w Łodzi, w Melce ścisłości, w samym maticzniku naukowości i empirii?

Różnie się ludzie bawią: w polityków, proroków, dyplomatów, mistyków, ekonomistów itd. Znalazła się także garść ludzi, którzy postanowili zabawić się w filologów — jak wiadomo nie święci garnki lepią — i rzeczywiście ulepiли pierwsze sławne wydanie „Pana Tadeusza“ na obraz i podobieństwo swoje! Prof. Saloni musiał potem zabawić się w Herkulesa i oczyszczać stajnię Augiasza w wydaniu drugim. Dowodem, że jednak przysłowia mają pewien sens, jest fakt, że trochę śmiecia zostało nawet w edycji poprawionej. Nec Hercules contra plures! Ponieważ zabawa od-

bywała się na publiczny koszt (maszyny drukarskie i papier są własnością państwa) i ze szkodą dla kultury polskiej, więc trudno się temu przypatrywać z filozoficznym spokojem i nie zawołać:

— Przestańcie dzieci, bo się źle bawicie!

Kto czuwa nad skarbem piśmiennictwa ojczyźnego? Ministerstwo Oświaty, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Rada książki, Polska Akademia Umiejętności? A może nad wydaniem Mickiewicza Towarzystwo im. Adama Mickiewicza? Może któreś z istniejących Towarzystw Naukowych? A może Zawodowy Związek Literatów Polskich? Kto? Ktoś przecież, u licha, musi się zająć różnymi entuzjastami, co nieodpowiedzialnie szerzą kult klasyków.

Po upaństwowieniu przemysłu drukarskiego państwo wzięło na siebie obowiązek czuwania nad narodowym skarbem literatury. Dziś już nie podobna zwać winy na jednego czy drugiego wydawcę, na tę czy na tamtą instytucję. Za wszystkich odpowiada — państwo. Tak jest, nikt inny tylko państwo. Taką jest konsekwencja upaństwowienia oficyn drukarskich. Tymczasem u nas jakoś nikt nie chce wyciągnąć ostatecznych wniosków ze zmiany naszego ustroju. Niekiedy, jak w naszym wypadku, nie chce tego zrobić nawet samo państwo!

Wacław Kubański

Przegląd prasy

Tempo życia kulturalnego od... powiedzmy pół roku, wzrasta stale i dzisiaj nie tylko zajęcie się jakąś jedną, konkretną sprawą, ale tygodniowy urlop, jakieś przysłowiowe odwrócenie głowy, powoduje lukę i niemożność ogarnięcia całości.

Jeszcze nie tak dawno wystarczała lektura dwu — trzech tygodników, jednego miesięcznika, aby być zorientowanym w zagadnieniach, które się automatycznie hierarchizowały. Obecnie sam materiał obserwacyjny jest tak obszerny, że ryzykowne jest bez przewodnika stawać przed kioskiem z gazetami. Tym bardziej, że w tłoku czasopiśmienniczym mogą pozostać niezauważone publikacje nieefektywne, a ich jednobarwne okładki oraz tytuły złożone skromną „antykwa“ nie przykuja nieczyli oczu.

„Język Polski“ od kilkunastu lat obywateli się bez reklamy. Regularnie co dwa miesiące ukazuje zeszyt skromny, a bogaty w treść najbardziej wartościową. Jest to pismo wbrew pozorom żywe, nawet bojowe. Może jedną z najbardziej zawziętych dyskusji z tych, które toczono u nas po wyzwoleniu, odbywała się na jego łamach. Spór o Nysę odbił się szerokim echem w tygodnikach i dziennikach nawet i mimo autorytatywnego przecięcia go przez redakcję „Języka Polskiego“ oponenci zaapelowali do czynnika „ostateczności“: niech żywa mowa potoczna rozstrzygnie: Nysa czy Nisa? W zeszycie za marzec—kwiecień Zenon Klemensiewicz zamieszcza historyczną rozprawkę na temat: „pan i obywatel“, a A. Obrebska-Jabłońska pisze wreszcie o kinofikacji. Konserwatyści i radykali językowi znajdą tam niejedną argument rozstrzygający.

„Język Polski“ spełnia, w każdym razie może spełniać (gdyż tylko od jego należytego rozpowszechnienia to zależy), ważną funkcję dydaktyczną. Uczy poprawności językowej. Specjalny dział „porad“ otwarty jest dla każdego kto przeżywa wątpliwości językowe. Od pewnego czasu pisma innego typu („Kamena“, „Życie Nauki“) współpracują z „Językiem Polskim“ w tej dziedzinie. Pożądane byłoby (nie umniejszając oczywiście roli pism innych), aby „Język Polski“ bezpośrednio trafiał jak najpowszechniej.

Pismem o równie starej jak „Język Polski“ tradycję jest „Bibliotekarz“. Miesięcznik ten wzniesiony w styczniu br. rozpoczął trzynasty rok życia. W dwu zeszytach, które się dotychczas ukazały, znajdujemy m. in. prace Józefa Janiczka, który informuje szczegółowo o „sprawach bibliotecznych w ramach działalności Ministerstwa Oświaty“. Praca ta dzięki zastosowaniu przez autora metody porównawczej (biblioteki przed wojną i obecnie np.) obrazuje dość dokładnie aktualny stan książki polskiej i ogrom strat, jakie ponieśliśmy. Rozprawka tegoż autora o przedwojennych staraniach i walkach parlamentarnych o ustawę biblioteczną, która została w roku bieżącym opracowana, jest uzupełnieniem historii niedoli polskiej książki. Ustawa biblioteczna rozpocznie nową epokę kultury w Polsce. Sprawę z jej znaczenia zdaje sobie każdy, kto świadom jest tego, że w kulturze mamy **wszystko** do zyskania.

Do zyskania mamy wszystko i wszędzie. Nigdzie jednak bardziej i więcej niż na Ziemiach Zachodnich. Powoli centra polskości już się tam formują. Powstają ośrodki, gdzie życie nie jest tylko improwizacją. Wrocław, Szczecin, Jelenia Góra, — to dzisiaj wielkie stacje polskiej kultury na ziemiach nadodrzańskich. Wrocław, miasto uniwersyteckie, skupia wybitnych uczonych o takich nazwiskach jak Ingarden, Jelenia Góra coraz bardziej przekształca się we wrocławską filię, chociaż warunki (drukarnie np.) sprzyjają jej samodzielności. W Jeleniej Górze zaczął

wychodzić od marca poważny miesięcznik „Śląsk“. „Śląsk“ (redagowany przez Stefana Kuczyńskiego) ma za zadanie naukową dokumentację praw naszych do Ziemi Zachodnich. Cel swój spełnia dobrze. W dwu zeszytach kolejnych, znajdujemy m. in. prace Ewy Maleczyńskiej („Sprawa powrotu Śląska do Polski w r. 1404“), Józefa Widajewicza („Historia Polski zaczęła się na Śląsku i nad górą Wisłą“), Anny Kutrzebianki („Źródła i charakter kultury wsi śląskiej“), Stefana Kuczyńskiego („Bitwa pod Legnicą“) i inne. Szczególnym pomysłem redakcji jest zamieszczanie oryginalnych dokumentów niemieckich, stwierdzających polskość Śląska. I tak w zeszycie pierwszym miesięcznika znajdujemy następujący tekst z książki prof. Schummla wydanej w 1791 roku we Wrocławiu („Reise durch Schlessien im Juli und August 1791“): „Opieracie się (tzn. Niemcy) tak bardzo na starych prawach i przywilejach: Jeżeli one miałyby być nadal utrzymane w mocy, nie powinniśmy używać mowy niemieckiej, a raczej mówić po polsku: bowiem na Śląsku polszczyzna jest bezspornie najstarszą mową tego kraju, a niemieczyzna dopiero stopniowo wkradała się tutaj i wciskała... Nie zaczynajcie procesu przeciw Polakom na Śląsku — przed trybunałem historii my (Niemcy) przegraliśmy we wszystkich instancjach“.

Sprawie kultury polskiej na Ziemiach Odzyskanych służą również pisma wydawane w starym kraju, lecz predysponowane do zwracania bacznej uwagi na zachód: gdański „Wiater od Morza“, bydgoska „Arkona“, „Wiater od Morza“ jest świadomie piśmem specjalnym. Zwraca uwagę wyłącznie na zagadnienia morskie. Obawiamy się, że jednostronność ta uniemożliwi mu swobodny rozwój. A przecież postawiono już w tym piśmie tezę, że chodzi nie tylko o „reklamowanie“ morza, lecz również o budzenie najszerzej pojętego życia kulturalnego nad morzem. Wydaje nam się, że warto, by tę sprawę redakcja poddała otwartej dyskusji. Nie stoi to na przeszkodzie oczywiście sympatii, jaką miesięcznik gdański budzi, tym bardziej, że swoją specjalność wykonuje bez zarzutu. Numer kwietniowy zawiera m. in. pierwszy polski przekład fragmentu po łacinie pisanego pamiętnika Karola Ogiera, sekretarza ambasadora francuskiego za panowania Władysława IV.

„Arkona“ jest również specjalna na swój sposób: jest typowym piśmem regionalnym. Pisaliśmy już o tym, z jaką niechęcią nasze pisma regionalne zgadzają się na swój los. Każde z nich uważa za swój obowiązek rywalizację z „Odrodzeniem“ czy „Kuznicą“, o miejsce w podręczniku geografii kulturalnej. „Arkona“ ma ambicje o wymiarze mniejszym i o kierunku właściwym. Uwagę poświęca także poezji, dramatowi, krytyce literackiej, plastyce, lecz zagadnienia te rozpatruje **regionalnie**, nie odrywając ich od warunków kształtujących życie kulturalne regionu. W numerze kwietniowym „Arkony“ Alfred Kowalkowski pisze o „sztuce upowszechnionej“ bez demagogii, z poczuciem bezpośrednio sprawdzalności swoich sądów. Kowalkowski opowiadając się przeciw środkom zastępczym, utworom spreparowanym według recepty przystępności stawia problem wychowania widza, słuchacza, czytelnika przez zapoznanie go z wartościami najwyższymi, byleby tylko przeżyć artystyczne przez nie wywołane miało ważność a tym samym i oddziaływanie powszechne.

Rola przewodnika nie kończy się na ukazaniu nie uczęszczanych terenów. Jakżeż często idąc starym, utartym szlakiem spostrzegamy jaskrawe napisy, nie zwracając uwagi na budowlę, na których są one umieszczone. „Kuznicy“ grozi takie niedopatrzenie. Wprowadzona przez Kisielewskiego (przynajmniej mu

to pierwszeństwo) w „Tygodniku Powszechnym“ metoda wulgaryzowania zagadnień, załatwiania dowcipem lub po prostu łobuzerką spraw, którym ani do śmiechu, ani do bitki, święci niestety tryumfy. Jeśli tak dłużej potrwa, to Bogu ducha winna publiczność wychowa się w przekonaniu, że wszystko zależy tylko od temperamentu. Okazało się zresztą, że w walce na temperamencie „Kuznica“ wcale nie jest słabsza od „Tygodnika Powszechnego“. Lecz wydaje się, iż czas zdewaluować wartość ostrych języków. Różne rkm, rde czy awk stwarzają więcej zamętu, niż korzyści. Należałoby może przyzywać czytelników do rozpoczynania lektury od pierwszej strony czasopisma. A „pierwsze strony“ „Kuznicy“ wcale nie są niegodne uwagi. Ostatnie numery przyniosły utwory artystyczne i rozprawę o wielkiej wartości. Adam Ważyk opublikował nowe liryki. Jest to — mówiąc prosto — wydarzenie w naszym życiu literackim. Dwa artykuły Józefa Chałasińskiego: „Inteligencja polska w świetle swojej genealogii społecznej“ oraz „Socjologia i historia inteligencji polskiej“ — to piękny przykład ścisłości myślenia i jasności wykładu. Nie trzeba podkreślać aktualnej ważności samego problemu. „Kończyć się, stwierdza Chałasiński, drugi okres polskiej kultury — Polska inteligencja. Doniosłość tego procesu powinni zrozumieć zarówno ci, dla których problem inteligencji to tylko sprawa zawodowego wykształcenia pracowników umysłowych, jak i ci spośród inteligencji, którzy wbrew historycznym tradycjom tej warstwy brania odpowiedzialności za całość narodu, czekają z decyzją wzięcia aktywnego udziału w dokonującym się historycznym procesie. Inteligencja ma obowiązek zadanie do spełnienia w nowej historycznej roli intelektualnej elity chłopsko-robotniczego narodu, a nie w dotychczasowym charakterze osobnej arystokratycznej warstwy społecznej“.

Prace Ważyka, Chałasińskiego nie zwalnają od czujności. Trzeba umieć w porę zamknąć oczy na liche wierszydła, niechlujne reportaże, tak samo jak i na namaszczone protesty. Lecz otworzyć je trzeba znowu na artykuł Jana Kotta np. (o awansie społecznym) lub prozę Adolfa Rudnickiego.

Są ludzie z wadą wzroku, którzy nie potrafią posługiwać się powiekami. Zawsze widzą to samo i tylko to samo. Świat się zmienia, wojna się kończy, powstają nowe warunki życia, nowe życie powstaje — a oni prawią o swoich stałych skłonnościach osobistych jak o zjawiskach obiektywnie będących.

K. W. Zawodziński biada, że tygodniki są przeważnie społeczno-literackie, że nie ma wyłącznie literackich wiadomości. „Życie Literackie“ jakoś mu nie wystarcza. Do schematu, który sobie dla literatury stworzył, mało kto mu „pasuje“. Ten za duży, tamten za mały (pewnie drukuje tylko nonparem). Zawodziński dostrzegł w ciągu rocznego śledzenia czasopism literackich tylko trzech pisarzy: Artura Sandauera i dwu „z prawdziwego zdarzenia krytyków“ pisujących w tygodniku „Wieś“. Dostrzegł również przypadkiem A. Stawara, gdyż omyłkowo „wziął“ go za A. Sandauera (artykuł podpisany był inicjałami).

Jest demokracja albo nie ma. Daltoniści też mają prawo głosu. Popieramy gorąco projekt K. W. Zawodzińskiego wskrzeszenia „Rocznika Literackiego“ z tym, by projektodawca otrzymał dział recenzji poetyckich, jak sobie tego życzy. Ciekawi bowiem bardzo jesteśmy jego sądu o poezji M. Czerkawskiej i A. Sowińskiego.

„Życiu Literackiemu“ natomiast życzymy powiększenia subwencji, by artykuły Edwarda Jastrzębą mogły być drukowane garmondem. Dla zwolenników belkotu. Aby i K. W. Zawodziński mógł je bez wysiłku czytać. zb

Ludzie wśród ludzi

Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki. Ludzie wśród ludzi. Danusia z PPS. Słowo o Dembińskim. Wspomnienia o Halinie Górskiej. Towarzysz Dubois. Warszawa. „Wiedza“, 1946; str. 73 i 3 nl.

„Ludzie wśród ludzi“, to zbiór wspomnień, o pięknych postaciach zamordowanych przez Niemców.

Wspomnienia Boguszewskiej i Kornackiego otwierają zapewne nowy rozdział literatury wspomnień i portretów tych, którzy zabici czy umęczeni w obozach nie doczekali się końca wojny i pozostawili po sobie żal nie tylko osób bliskich, ale żal powszechny.

Henryk Dembiński, Halina Górską, Stanisław Dubois — to głośne i znane wszystkim nazwiska. Danusia Dzielacka, mała dziewczynka oddająca swe życie w ofiarnej pracy konspiracyjnej, staje się niejako postacią symboliczną. Stanowi jakby jeden z licznych przykładów bezimiennego bohaterstwa dzieci, które ginęły w służbie dla kraju, pozostawiając po sobie co najwyżej pamięć w rodzinie i wśród przyjaciół.

Słowo o Dembińskim wyróżnia się swym charakterem spośród pozostałych sylwetek. Nie jest bowiem wspomnieniem płynącym z osobistych przeżyć i własnych spostrzeżeń. Stanowi jakby studium psychologiczne oparte na relacjach przyjaciół i pogłębione znajomością prac i listów przywódcy wileńskiej młodzieży. Dembiński w świetle portretu Kornackiego to piękna postać szlachetnego działacza-entuzjasty, którego celem jest filomackie hasło szczęścia ogółu, pojęte jako hasło przebudowy społecznej.

Wileński okres życia i działalność Dembińskiego pokazuje przemiany duchowe człowieka, który w wędrówce do znalezienia właściwego rozwiązania skomplikowanych problemów społecznych przeżył trudną, pełną dramatycznych momentów drogę od głęboko ujętego katolicyzmu po skrajne formy radykalizmu. W postaci Dembińskiego chce widzieć Kornacki entuzjastę życia społecznego, dzielnego spadkobiercę filomackich ideałów, którego mecenuska śmierć ma przypominać szczytne cele, o jakie walczył, a które znajdują wyraz w ulubionych przez niego słowach: wspólnota, družba, towarzyszy.

Wspomnienia Boguszewskiej o Halinie Górskiej pokazuje nie autorkę książek, wybitną pisarkę społeczną, ale człowieka, co życiem wypełniał idee głoszone słowem. Górską była nie częstym przykładem pisarza, który hasło miłości człowieka i niesienia pomocy temu, kto jej potrzebuje, realizował w czynie, potwierdzając praktyką życia. Halina Górską nie szukała rozgłosu. W trudzie dnia codziennego organizowała akcję społeczną na rzecz najbardziej pokrzywdzonych, skupiając dokoła siebie wszystkich, w których wzbudziła sumienie i potrzebę pracy społecznej. Kto znał autorkę „Nad czarną wodą“, wie jak łatwo było ulec jej osobistemu urokowi. Ta właśnie sugestywna siła sprawiła, że zbierała przy sobie gromadkę ludzi, ożywionych żądzą pracy społecznej, pracy dla dzieci ulicy, dla bezrobotnych, dla bezdomnych.

Jeżeli humanitaryzm nie jest tylko cieżym frazeosem, szczególnym objawem tkliwości i ujęciem dla sentymentalnych wzruszeń, ale postawą czynną, wyrażającą się w pozytywnym wysiłku na rzecz innych — to takim humanitaryzmem właśnie przeżyła była działalność Górskiej. Dążenie do reform społecznych w wielkim stylu nie zwalniało z obowiązku niesienia pomocy poszczególnym jednostkom w możliwie szerokim zakresie. Masę społeczną widziała Górską przez cierpiące jednostki, którym należało pomagać w imię oczywistych a bezwzględnych zasad obowiązujących w stosunkach międzyludzkich. Dlatego rozwijała żywą akcję radiową we Lwowie mającą na celu przyjąć z pomocą rzeszy bezrobotnych, dlatego organizowała świetlicę dla gazeciarzy, dlatego tworzyła dom dla bezdomnych. Wszystkie te próby nie mogły jednak rozwiązać skomplikowanych problemów społecznych, których nie podobna było usunąć na drodze indywidualnych, najbardziej nawet udanych wysiłków. Na tym polegał dramat wewnętrzny pisarki, której zapał i entuzjazm pracy tworzył rzeczy małe w stosunku do ogromu nędzy i cierpienia ludzkiego. Portret duchowy Haliny Górskiej, zrobiony na tle fragmentów jej życia, powie o niej może więcej, niż najsuubtelniejsza analiza jej utworów. Pokazuje człowieka, który pracę pisarską łączył z działalnością w świetlicy, życie rodzinne godził ze szlachetną służbą społeczną.

Ostatnia sylwetka przedstawia wybitnego działacza socjalistycznego młodego pokolenia. W towarzyszu Dubois widzi Kornacki wzór dzielnego przywódcy młodzieży socjalistycznej, który entuzjazmem swym i radością życia promieniował na zewnątrz i przyciągał serca innych. Serdeczna miłość, jaką Stanisław Dubois zdobył sobie wśród towarzyszy partyjnych i mieszkańców Warszawy, była miarą jego siły duchowej, której rozmach tak bardzo potrzebna dla doskonałości realizowanej przebudowy społecznej.

Wzory pociągają... I może dobrze się stało, że ukazała się książka starannie wydana, której poczynają tytuł wskazuje odpowiednią, zawsze aktualną prawdę. Przedstawione postaci porównają tym, czym porównają — zazwyczaj bohaterzy utworów powieściowych — ideologią i zdolnością do największych wyrzeczeń. Tym gorzej nad przeciełnością i przez to odgrywają rolę kierowniczą w życiu społeczeństw.

Portrety nie wyczerpują wszystkich stron życia i działalności. Są jakby tylko naszkicowanymi, z serdecznym uczuciem pisanymi studiami, które miały wskazać istotne rysy portretowanych postaci.

Serdeczność Boguszewskiej i Kornackiego wyraża się w dwóch różnych stylach pisania. Boguszewska pisze językiem prostym, niejako opowiada o ukochanych i bliskich sobie ludziach, a patos przemawia z samego życia przedstawianych postaci. Kornacki natomiast za pomocą uroczystego stylu, doboru patetycznych słów stara się wytworzyć podniosłą atmosferę legendy, której bohaterami są prawdziwi ludzie.

Zdzisław Libera



Dr. A. WANDER S.A. KRAKÓW

Rozmowy z dr. Protem Sowizdrzałem

Od pewnego czasu zaczęło się ukazywać w „Odrodzeniu”, ogłaszane fragmentami przez Sigmę, archiwum dr. Prota Sowizdrzała. Dobrze, iż zwrócono uwagę na tego zapoznanego człowieka. Był to ciekawy oryginał, odpowiednik intelektualny Franciszka Fischera. Zetknąłem się z nim kiedyś w Warszawie przed wojną, a potem gawędziłem z nim parę razy w Krakowie, tuż przed jego śmiercią. Z czasów ostatnich pamiętam kilka rozmów, które podaję do druku w nadziei, że przydadzą się przyszłemu monografiście cyganerii intelektualnej w Polsce, jako uzupełnienie materiałów źródłowych, publikowanych przez Sigmę.

Dr Prot Sowizdrzał żywo zajmował się przemianami ustrojowymi, gospodarczymi, obyczajowymi i kulturalnymi w odrodzonej ojczyźnie. O zagadnieniach aktualnych miał sąd bystry, tylko swoim dziwnym zwyczajem, lubił poglądy swe wyrażać przy pomocy paralel i analogii, zaczerpniętych z dzieł literackich lub zjawisk kulturalnych, o czym wystarczające pojęcie daje ogłaszana „Tekka”.

Raz rozmawialiśmy na temat napoleońskich karier, jakie otwierają się zwykle po wojnach i przewrotach przed ludźmi prawdziwie zdolnymi. Dr Prot Sowizdrzał uważał, że wszyscy jesteśmy jednakowo zdolni i że zasadniczo moglibyśmy obejmować wszystkie stanowiska, lecz bieda w tym, że nie każdy umie uświadomić sobie swe ukryte talenty, albo po prostu w nie uwierzyć. Jak się to robi? Nieśmiertelnym wzorem jest Sancho Pansa, giermek i towarzysz wypraw sławnego błędnego rycerza Don Kichota z Manczy. Wspaniały Sancho Pansa odkrył według dr. Prota Sowizdrzała tajemnicę geniuszu w następujących słowach: „Macałem się nieraz po pulsie i znajduję, że dość mam zdrowia i sił, aby sprawować rządy nad wyspami i królestwami”. („Don Kichot”, przekład Edw. Boyé’go. Warszawa 1937—1938, III. 50).

Był taki mąż stanu, co groził Polsce, że ją odda pod władzę sierżantów czy kaprali. Cervantes przewidział kaprysy samodzierżców i dobrze znając arkana władzy uczynił w drugiej części „Don Kichota” Sanca Pansę gubernatorem. Co więcej, kazał się temu prostakowi wcale nieźle spisywać na urzędzie, oczywiście między innymi po to, żeby móc wygłosić następującą sentencję: „Z tego wszystkiego łatwo wnosić można, że Bóg rozjaśnia umysły tych, co rządzą, choćby to i głupcy byli” (IV, 63).

Sancho Pansa to wielki wzór i rodzic nieustrudzonych premierów. Przypominam, że Sancho jako wielkorożca wyspy Baratarii odwiedzał place targowe i sprawdzał obojętnie, czy przekupki sprzedają świeże orzechy nie domieszkiwując przypadkiem orzechów starych. Pokusy związane z władzą przedstawiał Cervantes nasyłając na Sanca Pansę zaraz po objęciu rządów petenta, który potrzebował pilnie sześciuset dukatów. Oburzyło to Sanca w sposób zupełnie zrozumiały: „Jakże to — przychodzisz o tej porze, aby żądać ode mnie sześciuset dukatów? A skądże ja je mam wziąć, hultajzy?... Powiedz mi bezwstydniku, ledwie dwadzieścia cztery godziny jestem tu gubernatorem, a ty chcesz, abym miał sześćset dukatów?” (IV, 83).

Kiedy indziej mówiliśmy o zamiłowaniu rodaków do irracjonalizmu i mitologii. Dr Prot Sowizdrzał przypuszczał, że to skutek wielowiekowego niedostatecznego odżywiania się nacji polskiej. Gdybyśmy przez paręset lat jedli takie śniadania jak Anglii i takie kolacje jak Francuzi, nikomu by z nas do głowy nie przyszło mieć widzenia i układać systemy mesjaniczne. Racjonalści wołają: „Więcej światła!” i zakładają dzienniki i tygodniki do walki z przesądami. Ja bym zaś krzyknął: „Więcej mięsa!”, zamknąłbym kilkanaście gazet i gazetek, papier zużywany przez nie sprzedawałbym na czarnym rynku i za otrzymane pieniądze żywiłbym dostatanio kilku naszych reprezentacyjnych mistyków. Zobaczylibyśmy, co by z tego wyszło! Najbardziej mistyk, jak przybierze ze dwadzieścia kilo na wadze, przestanie mówić o objawieniu i zacznie myśleć ekonomicznie, empirycznie, a może nawet semantycznie! Za czasów saskich paru ludzi kanonizowano i beatyfikowano, ale mistyków wówczas w Polsce nie było. Klasztory dostarczały wtedy materiałów tylko do „Pamiętników kwestarza”.

Sancho Pansa przeczuwał materialistów, gdy twierdził, że „trzeba być nawszem syty, bo wiem bebeczy dobrze naładowane utrzymują krzepkość i męstwo, nie zaś męstwo bebeczy” (IV. 7). Czy pamiętasz rozmowę Babieki, kobyli Cyda, z Rossynantem, szkapą bojącą Don Kichota z wiersza dedykacyjnego? — zapytał mnie kończąc swe wywody erudyta. Oczywiście nie pamiętałem, więc cytowałem, co następuje:

Babieka: Metafizykiem jesteś!
Rossynant: Nie jadłem od rana.
(I,20).

Innym razem była mowa o ciężkiej sytuacji na rynku wydawniczym: o braku pa-

pięru, małej ilości nowych publikacji i o wysokiej cenie książek, co wszystko razem wzięte jest powodem, że nikt nie może sobie pozwolić na założenie choćby najskromniejszej biblioteczki. Dr Prot Sowizdrzał odparł, że ma luźną sytuację zbyt czarno. Nie ma powodu do narzekania, bo w tej chwili prawie osiągamy ideał, jaki sobie postawili najbardziej oświeceni obywatele, zgromadzeni w wileńskim Towarzystwie Szubrawców.

Według statutu wspomnianego Towarzystwa każdy członek obowiązany był:

1) czytać jedną gazetę polityczną i jedną literacką; jeśli majątek pozwoli mieć je na własność — „a w przeciwnym przypadku upewnić sobie stateczną zręczność i miejsce czytania cudzych”;

2) co miesiąc przeczytać jedną nieznaną książkę (od 10 arkuszy druku wwyż);

Polska współczesna Węgiel kamienny

49 odrębnych przedsiębiorstw w okresie gospodarki przedwojennej, z których część należała do wielkich koncernów zostało przejętych pod zarząd państwowy a cały przemysł węglowy został zorganizowany na zasadach gospodarki planowej. W chwili obecnej jest 11 rejonowych Zjednoczeń Przemysłu Węglowego: Krakowskie, Dąbrowskie, Katowickie, Chorzowskie, Rudzkie, Bytomskie, Zatorskie, Gliwickie, Rybnickie, Mikołowskie, Wałbrzyskie. Są to skomercjalizowane przedsiębiorstwa państwowe, które podlegają Centralnemu Zarządowi Przemysłu Węglowego z siedzibą w Katowicach. Nadto istnieją 3 zjednoczenia pomocnicze i 3 okręgowe stacje rachownicze.

Kopalń węgla kamiennego było w Polsce w 1945 roku 81. Przemysł węglowy liczył z górą 300 instytucji, w tym 12 koksowni, 44 cegielni, 37 elektrowni, 9 brykietowni, 9 tartaków mechanicznych, 5 fabryk maszyn, 4 zakłady wodociągowe, 3 pralalnie, 34 majątki ziemskie, 37 innych zakładów.

Produkcja węgla wynosiła w kwietniu 1945 roku — 920 tys. ton (okrągło), w grudniu — 3 miliony ton. Produkcja **koks**u w styczniu — 25 tys., w grudniu — 120 tys. ton, **brykietów** w marcu 2,2 tys., w grudniu 13,6 tys., **prądu**, w styczniu 36,6 milionów KWh, w grudniu 108,15 milionów. Wzrost wydobycia i wydajności pracy jest bardzo wielki. Przeciętne dzienne wydobycie wynosiło w kwietniu 38 tys. ton, w grudniu 132 tys. ton. Liczba pracowników wzrosła o 78 proc., a przeciętne wydobycie dzienne o 245 proc. Plan państwowy został przekroczony o 12%.

Stan zatrudnienia podniósł się z 100 tys. pracowników w styczniu na blisko 200 tysięcy w grudniu, w tym 178 tysięcy załogi kopalń.

„Sen nocy letniej” w Toruniu

W bieżącym sezonie teatralnym Szekspir doczekał się dwóch przedstawień: w Katowicach i Toruniu. Oba sięgnęły do jego komedijowej pułki, tu „Wiecej trzech króli”, tam „Sen nocy letniej”, najbardziej uroczą z komedji i najczarowniejszą baśń poetycką. Druga część twórczości Szekspira pozostała nieruszona, jego tragedie i kroniki królewskie. Może to i lepiej, bo nie wiadomo, czyby nasze powojenne zespoły teatralne poradziły sobie z tymi wielkimi widowiskami, z małymi wyjątkami oczywiście. Obie natomiast ostatnie inicjatywy szekspirowskie należą do rzędu naprawdę donioślejszych wydarzeń teatralnych w Polsce. Szczególnie ta druga, toruńska.

Teatr Ziemi Pomorskiej został zreorganizowany stosunkowo późno: dopiero głęboka jesienią nowo-mianowany dyrektor, w osobie Wilama Horzycey, jednej z najwybitniejszych indywidualności nowego teatru w Polsce, przystąpił do podniesienia znajdującej się w skrajnym upadku sceny toruńskiej. W tych warunkach oczywiście nie mogło być mowy o właściwym dobraniu sobie zespołu, teatry były już w pełnym sezonie, najlepsze sily poangazowane. Jednak teatr ruszył dając kilka ambitnych premier m. in.: „Szkółę żon” Mollera, a ostatnio „Sen nocy letniej” w inscenizacji Horzycey, reżyserii L. Jabłonkówny i dekoracjach L. Torwira.

Zasada inscenizacyjna twórcy przedstawienia jest prosta, możliwie najprostsza i bodaj najludziejniejsza, jeśli chodzi o Szekspira. Pisze o tym Horzyca w programie: „Teatr Szekspira to nie był teatr autentyzmu, ale za to był teatrem poezji, który chciał ukazać prawdę najwyższą, bo prawdę natchnienia... Chodzi o to, by wielkiemu słowu dać oprawę sceniczną, która by go nie przesłaniała dodatkowymi akcesoriami i by w ten sposób stworzyć nowe, surowe może, ale wzniosłe piękno widowiska teatralnego, nową jego formę”.

Ponieważ teatr za czasów Szekspira obchodził się bez dekoracji i wszelkich realnych akcesoriów, poza nielicznymi rekwizytami i kostiumami (współczesnymi, szesnastowiecznymi) dając wyjątkowo oddziaływanie tylko słowu, wydawało się inscenizatorowi rzeczą szustną pojęcie po tej linii: maksimum jedności miejsca, jednej chwili czasu. Dekoracje — tak, my dziś bez dekoracji obyć się nie możemy, ale takie dekoracje, które by nie wyłączały poezji, bo do niej należy pierwsze miejsce na szekspirowskiej scenie. Stąd wyrosła koncepcja dekoracyjna Horzycey, pojęta i wykonana doskonale przez Torwira.

Właściwie jedna dekoracja złożona z dwóch części. Pierwsza — schody srebrne, zakończona takim ekranem, zabudowaną na całą szerokość sceny. To akt pierwszy i piąty. Trzy środkowe akty — las ustawiony na tyłach schodach, bogaty, z dużą perspektywą w głąb, cały w srebrnych światłach. Oba te warianty bardzo statyczne, w miarę sztywne i teatralne o tyle, aby nie narzucać widzowi nie ponadto, co jest czystym teatrem wyrosłym na przyłetych konwencjach, a te przecież opierają się na koniecznościach czasu-przestrzennych sceny.

Nie zapominajmy, że „Sen nocy letniej” to arcy-ciekawy problem dla rozwiązań filmowych i tego

3) mieć własnych ksiąg przynajmniej dzie sięć;

4) jednym przynajmniej dziełem zbiorowich ksiąg corocznie pomnażać;

(Józef Bieliński, „Szubrawcy w Wilnie”, 1817—1822. Wilno 1910, str. 45—6).

Co tu dużo mówić: dzisiaj wszyscy jesteśmy idealnymi szubrawcami! Z mej dawnej biblioteki nawet mi dziesięciu książek nie zostało. Zapewne jesteś ciekaw, co mi ocalało? Niewiele. Mam mickiewiczowskiego „Obywatela Tadeusza”, jakąś część „Trylogii” Sienkiewicz, bodaj „Obywatela Wołodyjowskiego”, a dalej „Obywatela Jowialskiego” Fredry, „Obywatela Damazego” Blizińskiego, „Obywatela Grabę” Orzeszkowej, „Obywatela Podstolego” Krasickiego i powieść Niemcewicz „Dwaj obywatele Sieciechowic”.

Wacław Kubacki

Inwestycje poczynione w 1945 roku wyniosły 175,5 milionów złotych, plan inwestycyjny na rok 1946 przewiduje blisko 2 miliardy złotych. Straty i szkody wojenne polskiego przemysłu węglowego szacowane są na 3 miliardy 200 milionów zł.

Ogólny zbył węgla wyniósł od lutego do grudnia 16 milionów 200 tys. ton, z tego 10 milionów 600 tys. poszło na rynek krajowy i 5 milionów 600 tys. dla zagranicy (24 proc. wydobycia). W lutym i marcu zbył węgla i koks w kraju wyniósł 34 miliony zł, w grudniu 424 miliony. Umowy o dostawę węgla i koks zawarto z ZSRR, Rumunią, Szwecją, Danią, Norwegią, Węgrami, Jugosławią i Czechosłowacją.

Chłonność rynków zagranicznych na węgiel jest przejściowa, związana z niskim stanem wydobycia w krajach produkujących węgiel. Koniunktura ta przewidywana jest na 2—3 lata i w tym czasie musimy zdobyć stałe rynki zbytu dla naszego węgla. Do najdonioślejszych spraw, które się z tym wiążą, należy rozbudowa środków przewozowych tj. transportu lądowego i rzeczno-Odrą i Wisłą, oraz podniesienie zdolności przeładunkowych portów w Gdyni, Gdańsku i Szczecinie.

Zapasy węgla kamiennego w Polsce w nowych granicach szacowane są przez geologów na 75 miliardów ton. Można to wyrazić tak: gdyby wydobycie roczne podwoiło się w stosunku do stanu z 1945 roku, ostatki węgla wydobytoby w Polsce około roku 3000. Mamy zapas czarnych diamentów na tysiąc lat. (Źródło: „Sprawozdanie z działalności polskiego przemysłu węglowego za rok 1945”, Katowice, 1946).

js

na w całej sztuce, odegrała Maślińska z dużym temperamentem, dając duszka nadmiernie złośliwego, raczej małego czarta aniżeli psotnika, bardzo ostrym głosem akcentując jego nieposkromiony charakter.

Sztuce towarzyszyła muzyka Mendelssohna, do której przywykliśmy, ale która nas już dziś nie przekonywa. Jedyne marsz weselny z piątego aktu trafia w charakter sytuacji scenicznej, reszta nie ma nic wspólnego z akcją widowiska. Trzeba by pomyśleć nad nową. Może ktoś z naszych muzyków?

Stefan Flukowski

Życie muzyczne w Krakowie

Na koncercie Filharmonii w dniu 24 maja usłyszeliśmy długo oczekiwaną Piątą Symfonię Szostakowicza, czołowego kompozytora współczesnego Rosji Radzieckiej. Wrażenie jest bardzo nierównomierne: obok najwyższych wiołów, reprezentowanych przez część trzecią (Largo), pełną wyrazu i skupienia, oraz wielkiej ilości ciekawych myśli w innych częściach, zdarzają się inne, wyraźnie nie licujące z tym poziomem. Wymienię tu choćby tylko scherzo (część II), gdzie środki wprowadzające nastroj kontrastowy w stosunku do części I razą jako zbyt prymitywne w zestawieniu z innymi częściami symfonii: jego ludowski jest czysto zewnętrzna, podana w formie nadużywanej już przez kompozytorów z końca XIX wieku (przypomina się ustawicznie Mahler, Reger w swych utworach scherzowych). Nie chodzi w tym wypadku zresztą o sam fakt nawracania do środków zużytych, bo i one mogą w pewnych wypadkach oddać przystugę kompozytorowi współczesnemu, chodzi raczej o coś ważniejszego: o ową niejednolitość wewnętrzną, która się przez taką technikę wyraża. Można zrozumieć, że w Symfonii Szostakowicza natrafimy na wpływy np. Prokofiewa czy Strawińskiego, bo Prokofiew i Strawiński są tak silnie zróżnieni z całą muzyczną twórczością współczesną, że wpływ ich sięga niemal wszędzie. Ale trudniej przyjąć owe echa Wagnera (w instrumentacji np.) czy jego następców jako coś w organizmie muzyki współczesnej obcego.

Nie znam całej twórczości Szostakowicza, zwłaszcza jego późniejszych symfonii, napisanych podczas wojny, ale pamiętam, że zupełnie podobne zarzuty nasuwały się w odniesieniu do jego III Symfonii, gdzie również scherzo nie wytrzymuje porównania z całością utworu.

Szostakowicz, jeden z największych talentów muzyki współczesnej, rozwijał się w okresie największych przemian społecznych, w dobie rewolucji, która postawiła z konieczności wszystkie utarte na przełomie XIX i XX wieku poglądy na sztukę i jej rolę społeczną pod znakiem zapytania. Odrzucała przede wszystkim elitarność sztuki jako postulat społeczny i na jego miejsce postawiła nową: postulat sztuki dla wszystkich. Myśl ta była niewątpliwie jednym z największych osiągnięć naszych czasów, do którego droga była trudna, prowadziła przez tysiączne eksperymenty, których i dziś jeszcze nie możemy uważać za ukończone i które zmusiły do rozgraniczenia obu tych rodzajów muzyki, muzyki tzw. elitarnej i muzyki dla wszystkich, przynajmniej tak długo, dopóki kultura muzyczna nie stanie się powszechna i przez to samo najlepsza i najbardziej wartościowa muzyka nie stanie się strawą dla wszystkich.

Tymczasem dla kompozytorów współczesnych, zwłaszcza dla tych, którzy szukali drogę swej nie w oparciu o tradycję XIX wieku, ale poza nią, sprawa nie była łatwa. Nieraz bardzo trudno było odpowiedzieć sobie na pytanie, jak odnaleźć właściwe miejsce w sztuce współczesnej. Wydaje mi się, że ślady takich właśnie zmagających widoczne są w twórczości tego okresu u Szostakowicza. Czy wyszedł z nich zwycięsko tak, jak kaže to przypuszczają jego wielki talent i jak wyszedł — na to można by odpowiedzieć dopiero poznawszy jego ostatnie utwory.

Młodego kapelmistrza **Witolda Krzemieńskiego**, który dyrygował symfonią Szostakowicza, trudno ocenić na podstawie tego koncertu już choćby dlatego, że dyrygował utworem nowym, nie dozwolającym na żadną skalę porównań. Było to niewątpliwie duże osiągnięcie artystyczne już przez sam fakt wyboru tak wielkiej i odpowiedzialnej kompozycji, ale więcej powiedzieć o tym nie podobna. Umieszczona na wstępie uvertura Mozarta do „Uprawdzenia z Seraju” wypadła słabo, brak jej było lekkości i precyzji w wykonaniu. Prawdopodobnie cały wysiłek na próbach skierowany został na symfonię Szostakowicza.

Niedzielną porankę Filharmonii w dniu 26 maja był koncertem jubileuszowym **Heleny Ottawowej**, która święciła 50-lecie swej pracy artystycznej.

Zasłużona artystka, która ma dziś za sobą piękną karierę koncertową we wszystkich miastach Polski, a jako pedagog wykształciła całe pokolenie pianistów (obecnie czynna jako profesor klasy fortepianowej w Państwowej Wyższej i Średniej Szkole Muzycznej), odegrała dwie spośród najtrudniejszych i najbardziej odpowiedzialnych kompozycji z pianistycznego repertuaru koncertowego: Beethovena Koncert c-moll i Francka Wariacje symfoniczne na fortepian z towarzyszeniem orkiestry, dając tym jeszcze jeden dowód fenomenalnej swej żywotności. Wszystko tam było stylistycznie czyste i technicznie wypracowane.

Pianizm Ottawowej jest zawsze najlepszym gatunkiem, kontakt z instrumentem bezpośredni a ołbrzymia muzyczność pozwala zawsze utrafić we właściwy ton każdego utworu.

Koncert przemienił się w żywoło manifestację całej polskiej społeczności muzycznej, w której wzięły udział liczne delegacje. Pierwszy przemówił wicewojewoda krakowski Rubiniś i delegat Ministerstwa Kultury i Sztuki Janusz Mikietta, po czym liczne instytucje muzyczne składały przez swych delegatów wyrazy hołdu i życzenia jubileuszowe sedegowej artystce.

Orkiestra dyrygował **Anatol Zarubin**, który na wstępie dał dobre wykonanie Mozarta uvertury do „Don Juana”. Akompaniując solistkę wykazał wyczuć frazy i muzyczność, oraz należyty stosunek do instrumentu koncertującego (nieraz aż nazbyt dyskretny w partiach, gdzie orkiestra wstępnie wyraźnie, niezależnie od fortepianu z własnym materiałem tematycznym), ale nie potrafił należyście zdyscyplinować orkiestry pod względem rytmicznym.

Stefania Łobaczewska

Już się ukazało w księgarniach
znane dzieło francuskiego anglisty

ANDRÉ MAUROIS

pod tytułem „DZIEJE ANGLII”

w dwóch tomach

Wydawcy: GALSTER, LAUTER i RUTKOWSKI
Warszawa, Marszałkowska 90. Skład Główny

Przedstawicielstwo w Krakowie:

E. Ledkiewicz, Michałowski 16

W przygotowaniu u tych samych wydawców:

Axel Munte — „Księga St. Michele” i Życiorys Curie-Skłodowskiej, pióra jej córki, Ewy Curie

Zaprenumerować „ODRODZENIE”
można w każdym urzędzie pocztowym

za pomocą przekazu pocztowego

Prenumerata kwartalna 87 zł.

Adres Administracji: Kraków, Wielopole 1